



HERBERT GEORGE WELLS

Wehikuł czasu


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

HERBERT GEORGE WELLS

Webikut czasu

TLUM. FELIKS WERMIŃSKI

ROZDZIAŁ I

Podróżnik w Czasie (tak bowiem wypada go nazwać) wyjaśniał nam oto pewien niezwykle problem. Jego szare lśniące oczy błyszczwały, a twarz, blada zazwyczaj, ożywiła się jasnym rumieńcem. Ogień na kominku palił się jasno, a łagodne światło srebrnych lamp w kształcie lilii odbijało się w perełkach napoju musującego w szklankach. Fotele wykonane według projektu gospodarza, miał stanowić po prostu wygodne siedzenie, obejmowały nas i tuliły. Panowała tu atmosfera poobiedniego błogostanu, kiedy to myśli biegną z pewnym wdziękiem, wolne od więzów ścisłości. Tak też biegły i jego myśli w ciągu wykładu, którego kolejne punkty podkreślał niejako ciekawym wskazującym palcem, podczas gdyśmy siedzieli i niedbale podziwiali jego gorące przejście się tym, jakieśmy sądzili, nowym paradoksem i niezwykle bogactwo jego umysłu.

— Zważcie dobrze — mówił. — Zmuszony bowiem będę przeciwstawić się pewnym powszechnie uznanym pojęciom. Geometria, na przykład, której uczyliście się w szkołach, jest oparta na błędnym założeniu.

— Czy nie jest to zagadnienie zbyt poważne, abyśmy się tutaj nim zajmowali? — zapytał rudowłosy Filby, człowiek wygadany co się zowie.

— Ani myślę żądać od was, byście przyjmowali cokolwiek bez dowodów. Wkrótce zgodzicie się ze mną, przynajmniej o tyle, o ile jest mi to potrzebne. Wiecie z pewnością, że linia matematyczna, linia o wymiarach zero, nie istnieje w rzeczywistości. Uczyliście się przecież tego? Nie istnieje płaszczyzna matematyczna. Są to pojęcia abstrakcyjne.

— Wszystko to prawda — rzekł Psycholog.

— Nie istnieje także realnie sześcian o wymiarach długości, szerokości i grubości, czyli wysokości.

— Z tym się już nie zgodzę — powiedział Filby. — Wszak bryła może istnieć? Wszystkie ciała materialne...

— Takie jest powszechne mniemanie. Ale poczekaj chwilkę. Czy może istnieć sześcian *momentalny*?

— Nie rozumiem — rzekł Filby.

— Czy może istnieć sześcian, który nie trwałby ani jednej chwili?

Filby zamyślił się.

— Oczywiście — ciągnął dalej Podróżnik w Czasie — każde materialne ciało rozciągające się musi w czterech kierunkach i posiadać długość, szerokość, grubość i trwanie. Jednakże przyrodzona nieudolność naszego ciała, którą wam zaraz wyjaśnię, skłania nas do przeoczenia tego faktu. W rzeczywistości istnieją cztery wymiary: trzy, które nazywamy trzema płaszczyznami przestrzeni, i czwarty — czas. Istnieje jednak tendencja do stawiania nieuzasadnionej granicy pomiędzy trzema poprzednimi wymiarami a ostatnim, ponieważ tak się dzieje, że nasza świadomość biegnie z przerwami w jednym kierunku, po linii tego właśnie ostatniego wymiaru, od początku do końca naszego życia.

— Jest to... — odezwał się pewien Bardzo Młody Człowiek, usiłując rozpaczliwie zapalić nad lampą cygaro — jest to... najzupełniej jasne.

— Otóż jest to szczególnie zadziwiające, że się tak powszechnie lekceważy ten fakt — ciągnął dalej Podróżnik z odcieniem lekkiej wesołości. — Oto, według mnie, istota czwartego wymiaru, natomiast wielu ludzi prawi o czwartym wymiarze nie wiedząc, co to

Sielanka, Uczta, Myśl

znaczy. A tymczasem jest to tylko odmienny sposób patrzenia na czas. Nie ma bowiem żadnej różnicy pomiędzy czasem a *którymkolwiek z trzech wymiarów przestrzeni oprócz tej, że nasza świadomość dąży po linii tego właśnie czwartego wymiaru*. Sporo jednak głupców błędnie sobie to pojęcie tłumaczy. Słyszeliście wszyscy, co oni wygadują o czwartym wymiarze...

— Ja nie słyszałem — rzekł Burmistrz z prowincji.

— Rzecz się ma po prostu tak. Przestrzeń, jak utrzymują nasi matematycy, ma jakoby trzy wymiary, które można by nazwać długością, szerokością i grubością, i daje się zawsze określić stosunkiem do trzech płaszczyzn, z których każda leży pod kątem prostym do pozostałych. Lecz pewni zajmujący się filozofią ludzie zapytali: dlaczego tylko trzy wymiary, dlaczego nie jeden jeszcze kierunek pod kątem prostym do trzech pozostałych? — i starali się nawet stworzyć geometrię czterowymiarową. Przed miesiącem profesor Szymon Newcomb miał o tym wykład w Nowojorskim Towarzystwie Matematycznym. Wiedziecie, jak na płaskiej powierzchni, która ma tylko dwa wymiary, przedstawiamy rysunek bryły trójwymiarowej. Otóż niektórzy sądzą, że za pomocą modeli trójwymiarowych będą mogli analogicznie przedstawić ciała czterowymiarowe — jeżeli tylko ośwładną perspektywę przedmiotu. Czy pojmujecie?

— Tak sędzę — mruknął Burmistrz z prowincji i zmarszczywszy brwi pogrążył się w zamyśleniu poruszając wargami, jak gdyby wymawiał tajemnicze słowa. — Tak, zdaje mi się, że teraz już rozumiem — powiedział po jakimś czasie z twarzą najwyraźniej wypogodzoną.

— No, dobrze! Nie przypominam sobie, czy mówiłem już wam, że przez pewien czas zajmowałem się geometrią czterowymiarową. Niektóre z moich wyników są zadziwiające. Weźmy na przykład portret tego samego człowieka w ósmym roku życia, w piętnastym, w siedemnastym, w trzydziestym trzecim i tak dalej. Wszystko to są jakby przekroje, jakby trójwymiarowe wyobrażenia istoty czterowymiarowej, która jest tworem stałym i niezmiennym. Uczni — mówił dalej Podróżnik po namyśle potrzebnym dla lepszego sprecyzowania przedmiotu — wiedzą dobrze, że czas jest tylko rodzajem przestrzeni. Oto znany powszechnie wykres — zapis pogody. Krzywa, którą pokazuję, ma wskazywać wahania barometru. Wczoraj rtęć stała wysoko, w ciągu nocy opadła, dziś z rana podniosła się znowu i podnosi się nadal aż do obecnej chwili. Z pewnością, rtęć nie kreśli tej krzywej w żadnym z wymiarów przestrzeni znanych powszechnie, natomiast kreśli niewątpliwie taką krzywą, która, jak możemy wnioskować, przebiega wzdłuż wymiaru czasu.

— Jeśli jednak — odezwał się Lekarz patrząc uporczywie na płonące węgle — czas jest rzeczywiście czwartym wymiarem przestrzeni, to dlaczego jest i był uważany za coś zupełnie odrębnego? I dlaczego nie możemy się poruszać w czasie tak, jak się poruszamy w każdym innym wymiarze przestrzeni?

Podróżnik w Czasie uśmiechnął się.

— Czy jest pan tak bardzo pewien, że możemy swobodnie poruszać się w przestrzeni? Możemy poruszać się do woli na prawo i lewo, w tył i w przód, i tak ludzie poruszali się zawsze. Przypuszczam, że mamy swobodę ruchów w dwóch wymiarach. Ale jak poruszać się w górę i w dół? Tu kępuje nas ciężenie.

— Niezupełnie — rzekł Lekarz. — Mamy przecież balony.

— Ale przed wynalezieniem balonów, jeżeli pominiemy wymagające wysiłku podskoki oraz nierówności gruntu, człowiek nie mógł swobodnie poruszać się w kierunku pionowym.

— Zawsze jednak mógł poruszać się cokolwiek w górę i w dół — rzekł Lekarz.

— Łatwiej, daleko łatwiej w dół niż w górę.

— Ale nie jest pan w stanie poruszać się w czasie, wyjść z chwili obecnej...

— I tu właśnie pan się myli, kochany panie. Cały świat ma mylne wyobrażenie pod tym względem. Ustawicznie uciekamy od chwili bieżącej. Nasz byt umysłowy, który jest niematerialny i nie ma wymiarów, porusza się w wymiarze czasu z jednostajną szybkością od kolebki do grobu, zupełnie tak jakbyśmy nieustannie schodzili w dół, rozpoczynawszy nasze istnienie na wysokości pięćdziesięciu mil nad ziemią.

— Największa jednak trudność w tym — przerwał Psycholog — że mogąc się poruszać w każdym kierunku przestrzeni, nie jest pan w stanie poruszać się w czasie.

— To jest właśnie sedno mego wielkiego odkrycia. Nie ma pan jednak racji mówiąc, że nie możemy poruszać się w czasie. Jeżeli na przykład żywo przypominam sobie jakiś wypadek, to wracam myślą do chwili, w której się wydarzył: staję się wówczas nieobecny, robię na chwilę skok wstecz. Nie możemy, zapewne, zatrzymywać się w czasie na dłużej, podobnie jak człowiek dziki lub zwierzę nie może się utrzymać na wysokości sześciu stóp nad ziemią. Ale człowiek cywilizowany stoi pod tym względem wyżej od dzikiego. Wbrew sile ciężenia może wzniesić się w górę balonem; dlaczegoż więc nie miałby mieć nadziei, że zdoła wreszcie zatrzymać lub przyspieszyć swój bieg w czasie, lub nawet zawracać i puszczać się w inną drogę?

— O, co do tego... — zaczął Filby — to jest już...

— Dlaczego nie? — przerwał mu Podróżnik w Czasie.

— Sprzeciwia się to rozumowi — rzekł Filby...

— Jakiemu rozumowi? — zagadnął Podróżnik.

— Argumentami możesz pan dowieść nawet, że czarne jest białym i odwrotnie — rzekł Filby — lecz przekonać mnie pan nie zdołasz.

— Być może — rzekł Podróżnik. — Zaczynacie już jednak spostrzegać teraz cel moich dociekań w geometrii czterowymiarowej? Od dawna już świtał mi pomysł maszyny...

— Do podróżowania w czasie?! — wykrzyknął Bardzo Młody Człowiek.

— Tak, do odbywania podróży w każdym kierunku czasu i przestrzeni, w jakim tylko jadący udać się zechce...

Filby zaczął się śmiać.

— Robiłem już eksperymenty — rzekł Podróżnik.

— O, jakżeby się taka maszyna przydała historykowi! — zauważył Psycholog. — Niejeden mógłby cofnąć się daleko w przeszłość i sprawdzić powszechnie przyjętą historię bitwy pod Hastings!

— Czy nie sądzisz, że zwróciłbyś na siebie uwagę? — rzekł Lekarz. — Nasi przodkowie niezbyt chętnie tolerowali anachronizmy.

— Można by się uczyć greki z ust samego Homera lub Platona — zauważył Bardzo Młody Człowiek.

— I bez wątpienia zatrzymano by cię przy pierwszym egzaminie, bo przecież uczeni niemieccy tak udoskonaliли już grekę!

— W każdym razie na tej drodze jest przyszłość — powiedział Bardzo Młody Człowiek. — Dobra myśl! Można by oddać kapitały na procent i puścić się na złamanie karku!

— Na poszukiwanie społeczeństwa — zauważyłem — zbudowanego na zasadach komunistycznych.

— Co za szalone dziwactwa! — zaczął Psycholog.

— I mnie się tak zdawało. Toteż postanowiłem nikomu nic nie mówić, zanim...

— Nie sprawdzę za pomocą doświadczenia... — podchwyciłem. — Więc istotnie zamierzasz próbować tego?

— Eksperyment! — krzyknął Filby, któremu zaczęło się już mącić w głowie.

— W każdym razie obejrzymy ten eksperyment — powiedział Psycholog — chociaż to i tak wszystko są bzdury.

Podróżnik w Czasie uśmiechnął się do nas. Z uśmiechem też włożył ręce do kieszeni spodni i wyszedł z wolna z pokoju. Słyszeliśmy, jak człapią jego pantofle w długim korytarzu, który prowadził do laboratorium. Psycholog spojrział na obecnych.

— Ciekaw jestem, co też zmagstrował?

— Jakąś kuglarską sztuczkę lub coś podobnego — rzekł Lekarz, a Filby zaczął opowieść o magiku, którego widział w Burslem, lecz nim skończył wstęp do opowieści, Podróżnik w Czasie wrócił i nic nie wyszło z anegdoty Filby'ego. Podróżnik w Czasie trzymał w ręku połyskujący przedmiot. Był to mechanizm metalowy niewiele większy od małego zegarka, a wykonany bardzo misternie, z kości słoniowej i jakiejś przezroczystej krystalicznej substancji. Zmuszony teraz będę opowiadać jasno i zwięźle o tym, co nastąpiło, zanim Podróżnik nie udzieli swych wyjaśnień, gdyż wszystko to było doprawdy niewiarygodne.

Podróżnik wziął jeden ze znajdujących się w pokoju ośmiokątnych stolików i umieścił go blisko ognia, oparłszy obie jego nogi na dywanie przed kominkiem. Na stoliku postawił mechanizm, przysunął krzesło i usiadł.

Czas, Podróż, Postęp,
Nauka

Na stole, oprócz maszyny; stała tylko niewielka lampa z abażurem; jasne jej światło oświetlało przyrząd. W pokoju paliło się jeszcze nadto około dwunastu świec, z tych dwie w brązowych lichtarzach na kominku, inne zaś w srebrnych kandelabrach, tak iż oświetlenie było rześiste.

Siedziałem w niskim fotelu, jak najbliższej ognia, i wysunąłem się teraz naprzód, aby znaleźć się pomiędzy kominkiem, a Podróżnikiem w Czasie. Za nim siedział Filby patrząc mu przez ramię. Lekarz i Burmistrz z prowincji zajęli miejsca z prawej strony, Psycholog z lewej. Bardzo Młody Człowiek stał za Psychologiem. Wszyscy uważaliśmy bacznie. Wydawało się, że w tych warunkach niemożliwa jest jakakolwiek sztuczka, choćby najsubtelniej obmyślona i wykonana najrzęczniejszą ręką.

Podróżnik w Czasie popatrzył kolejno na nas i na mechanizm.

— No i cóż? — spytał Psycholog.

— Ten mały przyrząd — rzekł Podróżnik w Czasie opierając łokcie na stoliku i ujmując aparat w ręce — jest tylko modelem, pomysłem maszyny do podróżowania w czasie. Widzicie, że wygląda dość dziwnie. Ten drążek — wskazał palcem daną część — ma dziwnie migoczącą powierzchnię jak coś, co nie ma bytu realnego. Tu znowu jest biała niewielka dźwignia, tam druga...

Lekarz podniósł się z krzesła i spojrzął na przedmiot.

— Jak to ślicznie wykonane! — zawołał.

— Zabrało mi to dwa lata pracy — odparł Podróżnik w Czasie, a gdy wszyscy poszliśmy za przykładem Lekarza, mówił dalej: — Teraz chciałbym, abyście pojęli jasno, że gdy naciśniemy tę dźwignię, maszyna zostaje wprawiona w ruch postępujący w przyszłość. Druga dźwignia nadaje ruch w kierunku odwrotnym. Siodełko stanowi siedzenie podróżnika w czasie. Teraz nacisnę sprężynę i maszyna pójdzie naprzód; zniknie, przeniesie się w przyszłość i stanie się niewidzialna. Patrzcie uważnie na przyrząd. Patrzcie również na stolik; zapewniam was, że tu nie ma żadnych sztuczek. Nie mam ochoty pozbywać się tego modelu, a potem uchodzić za szarlatana.

Przez chwilę panowało milczenie. Zdawało się, że Psycholog chciał coś mi powiedzieć, lecz zmienił zamiar. Podróżnik w Czasie wyciągnął palec w kierunku dźwigni.

— Nie — rzekł. — Daj rękę — i zwracając się do Psychologa wziął jego rękę w swoją i kazał mu wystawić wskazujący palec. I tak oto Psycholog sam puścił maszynę w nieskończoną podróż. Ujrzeliśmy wszyscy obrót dźwigni. Uczuliśmy powiew wiatru, a płomień lampy buchnął w górę. Na kominku zgasła świeca, a niewielka maszyna zaczęła nagle wirować, stała się niewyraźna, jak zjawy, jak wir połyskującego z lekka brązu i kości słoniowej, aż wreszcie przepadła — znikła! Na stole nie było nic prócz lampy.

Wszyscy oniemieli na chwilę. Filby pierwszy uznał się za zwyciężonego.

Psycholog ochłoniwszy ze zdumienia spojrzął nagle pod stół. Wówczas Podróżnik w Czasie roześmiał się wesoło.

— No i cóż? — zapytał powtarzając słowa Psychologa. Następnie podniósł się, podszedł do pudełka z tytoniem na kominku i, odwrócony tyłem, zaczął nabijać fajkę.

Patrzyliśmy w osłupieniu jedni na drugich.

— Słuchaj — rzekł Lekarz — czy mówisz serio? Czy naprawdę sądzisz, że maszyna rozpoczęła już podróż w czasie?

— Z pewnością — odpowiedział Podróżnik, nachylając się dla zapalenia fajki. Następnie odwrócił się i spojrzął w twarz Psychologowi.

(Psycholog dla okazania, że się nie czuje wcale wytrącony z równowagi, szukał ratunku w cygarze i miał już je zapalić, ale zapomniał je przedtem obciąć).

— Co więcej, mam dużą maszynę na ukonczeniu tam — wskazał w stronę laboratorium. — Gdy ją złożę w całość, sądzę, że będę mógł już odbyć podróż sam we własnej osobie.

— Sądzisz pan, że maszyna powędrowała w przyszłość? — spytał Filby.

— W przyszłość lub przeszłość — nie wiem na pewno, w jakim kierunku.

Po chwili Psycholog wpadł na nowy pomysł.

— Musiała powędrować w przeszłość, jeżeli w ogóle dokądkolwiek poszła — rzekł.

— Dlaczego? — zagadnął Podróżnik w Czasie.

— Gdyż, przypuszczam, nie poruszyła się w przestrzeni, bo jeśli powędrowała w przyszłość, to byłaby jeszcze tutaj, gdyż musiałaby przejść chwilę obecną.

— Jednak — rzekłem — gdyby pomknęła w przeszłość, musiałaby być widoczna wtedy, gdy po raz pierwszy weszliśmy do tego pokoju, i w ostatni czwartek, gdyśmy tu byli, i jeszcze wcześniej!

— Poważne zarzuty — zauważył obiektywnie Burmistrz z prowincji, zwracając się do Podróżnika w Czasie.

— Ależ nie — odparł Podróżnik, a następnie, zwróciwszy się do Psychologa, dodał: — Niech pan się zastanowi. Pan bowiem może to objaśnić, gdyż jest to zjawisko leżące poniżej progu spostrzegania. Zjawisko nie najzupełniej jasne, nieprawdaż?

— Jest to istotnie — objaśnił Psycholog — kwestia prosta w psychologii. Powinno być o tym pomyśleć. To wystarcza i znakomicie podtrzymuje paradoks. Nie możemy zobaczyć, nie możemy dostrzec maszyny, zarówno jak nie możemy zauważyć szprychy kręcącego się koła lub pocisku przebiegającego powietrze. Jeżeli maszyna ta przebiega czas pięćdziesiąt lub sto razy szybciej niż my, jeżeli w „naszą” sekundę przebywa minutę, to wrażenie, jakie może wywołać, będzie z pewnością jedną pięćdziesiątą lub jedną setną tego, jakie by wywołała, gdyby nie przebiegała czasu. Czy to jasne?

Przesunął ręką w miejscu, gdzie przedtem stała maszyna.

— Czy pojmujecie? — zapytał uśmiechając się.

Siedzieliśmy może minutę, patrząc na pusty stół, po czym Podróżnik zapytał nas, co o tym wszystkim myślimy.

— Łatwo uwierzyć w to wieczorem — powiedział Lekarz — ale poczekajmy do rana. Poczekajmy na trzeźwy osąd poranka.

— A czy nie zechcielibyście obejrzeć maszyny czasu? — zapytał Podróżnik. Następnie, wzięwszy do rąk lampę, poprowadził nas długim ciemnym korytarzem do swego laboratorium. Żywo przypominam sobie drżące światło, zarys jego niezwyklej, dużej głowy, tańczące na ścianach cienie. Pamiętam, jak szliśmy za nim, zakłopotani, pełni nieufności, i jak w laboratorium ujrzeliśmy w powiększeniu ten sam mechanizm wehikułu czasu, który rozwiął się nam był w oczach. Jedne części wykonane zostały z niklu, inne z kości słoniowej, inne znowu niezawodnie wyciosane z górskiego kryształu. Maszyna była już prawie gotowa, tylko kryształowe pałeczki leżały jeszcze nie wykończone na ławce obok kilku rysunków; wziąłem jedną z nich do rąk, aby się lepiej przyjrzeć. Zdawało mi się, że był to kwarc.

— Słuchaj — rzekł Lekarz — czy to wszystko jest na serio? Czy też jest to jedynie sztuczka, podobna do tej z duchem, którą nam pokazałeś w czasie świąt Bożego Narodzenia?

— Na tym wehikule — rzekł Podróżnik podnosząc do góry lampę — zamierzam przebyć czas. Rozumiecie? Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie.

Nikt z nas nie wiedział, co o tym myśleć. Poprzez ramię Lekarza pochwyciłem spojrzenie Filby'ego, który mrugnął do mnie znacząco.

ROZDZIAŁ II

Sądzę, że nikt z nas wówczas nie wierzył w zupełności w maszynę Podróżnika. Zbyt przekornym był on bowiem człowiekiem, by mu można było wierzyć. Nigdy się go nie było pewnym, a pod pozorami szczerzej otwartości czuło się zawsze niewielki dystans i pewną ukrytą skłonność do kpin.

Gdyby na przykład Filby pokazał nam model i objaśnił rzecz słowami Podróżnika, okazalibyśmy mniej sceptycyzmu; z łatwością bowiem zdolalibyśmy przeniknąć jego podbudki. Nawet prosty rzeźnik byłby w stanie zrozumieć Filby'ego. Natomiast w naturze Podróżnika dostrzegaliśmy coś więcej niż objawy dziwactwa i dlatego nie dowierzaliśmy mu. Rzeczy, które zapewniłyby sławę mniej zdolnemu człowiekowi, w jego ręku wydawały się sztuczkami. Zbyt łatwe osiągnięcia nie wzbudzają bowiem ufności. Ludzie poważni, którzy i jego też brali poważnie, nigdy nie byli zupełnie pewni jego postępowania, zdając sobie do pewnego stopnia sprawę, że obdarzanie go swym zaufaniem byłoby niczym innym jak przyozdabianiem pokoju dziecinnego misterną porcelaną chińską.

Nie sądzę przeto, żeby którykolwiek z nas przez ten tydzień od ostatniego czwartku bardzo się w rozmowach zajmował podróżą po Krainie Czasu, jakkolwiek wielu z nas bez wątpienia nurtowała myśl o niezwykłych jej właściwościach, o pozornej rzeczywistości tego

Wiara, Filozof

pomysłu i trudności urzeczywistnienia go w praktyce, o ciekawej możliwości anachronizmu i o szczególnym zamieszaniu, jakie by ów wynalazek wywołał.

Co się tyczy mej osoby, ciekawiła mnie przede wszystkim sztuczka z modelem. Pamiętam, że rozprawiałem o tym z Lekarzem, którego w piątek spotkałem w Muzeum Linneusza. Powiedział mi, że w Tybindze widział już coś takiego, i przywiązywał dużą wagę do faktu zgaszenia świecy. Nie umiał jednakże objaśnić, w jaki sposób zrobiony był ten figielek.

W następnym czwartek znowu udałem się na ulicę Richmond. Sądzę, że byłem jednym ze stałych gości Podróżnika w Czasie. Przybywszy dosyć późno, zastałem już cztery czy pięć osób zgromadzonych w salonie. Lekarz stał przed kominkiem trzymając w jednej ręce jakiś papier, w drugiej zegarek. Obejrzałem się dokoła szukając Podróżnika.

— Jest wpół do ósmej — powiedział Lekarz. — Sądzę, że możemy już zasiąść do obiadu.

— A gdzie on? — zapytałem o gospodarza.

— Ach, pan dopiero teraz przyszedł? Dziwna rzecz, doprawdy... Coś go nieoczekiwanie zatrzymało. W tej oto kartce prosi mnie, aby zasiąść do obiadu o siódmej, jeżeli nie wróci. Mówi, że wytłumaczy wszystko po powrocie.

— W istocie, nie warto sobie psuć obiadu — rzekł Redaktor znanego dziennika, toteż Doktor pociągnął za dzwonek.

Oprócz Psychologa, Doktora i mnie nikt z obecnych nie uczestniczył w poprzednim obiedzie. Z nowych gości był Blank, wyżej wspomniany Redaktor, pewien Dziennikarz i jeszcze jeden gość, jakiś spokojny, nieśmiały, nie znany mi brodac, który, o ile mi się zdaje, ani razu nie otworzył ust w ciągu wieczora. Przy obiedzie czyniono różne przypuszczenia co do nieobecności gospodarza, ja zaś pół żartem podsunąłem myśl podróży po Krainie Czasu. Redaktor poprosił o wyjaśnienia. Psycholog zaczął bezbarwnie opowiadać o „dowcipnym paradoksie i sztuczce”, której byliśmy świadkami przed tygodniem. Był już w środku opowieści, gdy drzwi korytarza otworzyły się z wolna, bez skrzypnięcia. Siedziałem na wprost i pierwszy zauważyłem, że ktoś wchodzi.

— Ach — zawołałem — nareszcie!

Drzwi otworzyły się szerzej i Podróżnik w Czasie stanął przed nami. Wydałem okrzyk zdumienia.

— Na miłość boską! Człowiecze, co się z tobą stało? — krzyknął Lekarz, który go z kolei zobaczył. A reszta siedzących przy stole także zwróciła się ku drzwiom.

Podróżnik w Czasie przedstawiał widok niezwykle. Surdut jego był zakurzony, brudny, wzdłuż rękawów powalany czymś zielonym; włosy w nieładzie wydawały się przyprószone siwizną — nie wiadomo, czy od pyłu, czy też wskutek rzeczywistej zmiany koloru. Błady był jak widmo; na podbródku miał ciemną szramę, na wpół zabliznioną, wyraz twarzy błędny i jakby zmęczony długotrwałym cierpieniem. Zawahał się na progu, zdaje się, osłepiony światłem, po czym wszedł do środka kulejąc, najwidoczniej z powodu okaleczonych nóg. W milczeniu spoglądaliśmy nań czekając, co powie.

Nie wyrzekł ani słowa, zbliżył się jedynie z trudnością do stołu i wskazał na wino. Redaktor napełnił kieliszek szampanem i przysunął mu go. Podróżnik wychylił i widocznie zrobiło mu to dobrze, bo rozejrzał się dokoła stołu, a na twarzy zajaśniał mu cień dawniejszego jego uśmiechu.

— Gdzieżeś był, na Boga, człowiecze? — zapytał Doktor. Zdawało się, że Podróżnik w Czasie nie słyszał tych słów.

— Nie przeszkadzajcie sobie — rzekł niepewnym głosem. — Nic mi nie jest.

Zatrzymał się, znowu podsunął kieliszek i znowu wychylił go duszkiem.

— Teraz już dobrze — powiedział. Oczy mu zaświeciły silniej, a lekki rumieniec ukazał się na policzkach.

Wzrok jego ślizgał się po nas z wyrazem niewytłumaczonego zadowolenia, a następnie powędrował po ciepłym i wykwinnym pokoju.

— Pójdę — przemówił znowu, jakby ciągle dobierając słowa — ...umyc się i ubrać... Wróć i opowiem wam... Zostawcie dla mnie kawałek tej baraniny... Dosłownie umieram z głodu.

Spostrzegłszy nagle Redaktora, który był rzadkim gościem, uprzejmie go przywitał. Redaktor chciał go o coś zapytać.

— Odpowiem za chwilę — rzekł Podróżnik. — Czuję się nieco... śmieszny! Będę gotów za minutę.

Postawił kieliszek i skierował się ku drzwiom. Znowu zauważyłem, że utyka i powłóczy nogami po podłodze. Uniósłszy się trochę z miejsca przyjrzałem się jego nogom, gdy wychodził. Okrywały je jedynie podarte i pokrwawione skarpetki. Wreszcie drzwi zamknęły się za wychodzącym.

Z początku chciałem iść za nim, ale przypomniałem sobie, jak nie lubi, żeby się nim zajmować. Przez chwilę mój umysł pracował nad zagadką. Później usłyszałem, jak Redaktor powiedział:

— Dziwne Zachowanie Się Znakomitego Uczzonego! — według zwyczaju swego bowiem myślał nagłówkami artykułów.

Słowa te ściągnęły na powrót moją uwagę na oświetlony stół.

— Co to znaczy? — rzekł Dziennikarz. — Czyżby on z amatorstwa zajmował się włóczęgostwem? Nic nie rozumiem. — Wzrok mój spotkał się z oczyma Psychologa i wyczytałem w nich własne tłumaczenie zagadki. Pomyślałem o tym, z jaką trudnością nasz Podróżnik musi się gramolić na schody. Nie sądzę, żeby ktoś więcej jeszcze oprócz mnie zauważył, że kuleje.

Pierwszym, który ochłonął ze zdziwienia, był Lekarz. Zadzwoił, by przyniesiono dodatkowe nakrycie, gdyż Podróżnik nie lubił, aby podczas obiadu służba znajdowała się w pokoju.

W tej chwili Redaktor z namaszczaniem powrócił do jedzenia, a za jego przykładem poszedł i Milczący Gość. Obiad się kończył. Przez chwilę rozmowa składała się z wykrzykników i małych przerw niemego podziwu, a Redaktor usychał z ciekawości:

— Czy nasz przyjaciel nie zwiększa czasem swych dochodów zamiataniem ulic? — pytał zaciekawiony. — A może ulega napadom jak Nabuchodonozor?

— Jestem pewny, że to sprawa wehikulu czasu — rzekłem i podjąłem opowiadanie Psychologa od miejsca, w którym był je przerwał.

Nowi goście wyrażali jawne niedowierzanie. Redaktor wystąpił z zarzutami.

— Czymże właściwie jest owo podróżowanie w czasie? — mówił.

— Czy człowiek może tak się zakurzyć, zanurzwszy się w paradoksie? Czyż to możliwe? — Następnie, jakby oswojony z ową ideą, zapytał: — Czy w przyszłości nie ma szcotek do czyszczenia ubrania?

Dziennikarz również nie chciał wierzyć za żadną cenę i przyłączył się do Redaktora w łatwym zresztą zadaniu ośmieszenia całej sprawy. Obaj byli dziennikarzami w nowym stylu: ludźmi młodymi, bardzo wesołymi i nie uznającymi autorytetów.

— Nasz specjalny korespondent, którego wysłaliśmy w przyszły tydzień, donosi... — powiedział Dziennikarz, a raczej wykrzyknął z humorem, gdy Podróżnik już powracał do jadalni.

I wszedł on istotnie. Był ubrany w zwykły wieczorowy garnitur i nic prócz błędnego wzroku nie przypominało zmiany, która mnie od razu tak w nim uderzyła.

— Powiedz, czy to prawda — rzekł Redaktor wesoło — co mówią o tobie, iż podróżowałeś w środek przyszłego tygodnia? Jeżeli łaska, opowiedz nam wszystko o najbliższych zamierzeniach rządu. Jakie chcesz honorarium?

Podróżnik w Czasie zasiadł na swoim miejscu nie mówiąc ani słowa. Podług dawnego zwyczaju uśmiechał się spokojnie.

— Gdzie moja baranina? — zapytał. — Jaka to przyjemność zagłębić widelec w mięsie!

— Mów! — krzyknął Redaktor.

— Pał diabli gadanie! — rzekł Podróżnik. — Muszę coś zjeść. Ani słowa nie powiem, dopóki do mych tętnic nie dostanie się trochę peptonu. Dziękuję. A teraz, soli.

— Słówko — rzekłem. — Czy podróżowałeś w czasie?

— Tak — odpowiedział Podróżnik, mając usta pełne pieczeni, i skinął przy tym głową.

— Dam szylinga za wiersz opowiadania — rzekł Redaktor.

Podróżnik w Czasie posunął swój kieliszek w stronę Milczącego Gościa i trącił go końcem palca; w odpowiedzi na to Milczący Gość, ciągle wpatrzony w jego twarz, poruszył się gwałtownie i nalał mu wina. Reszta obiadu przeszła wśród ogólnego milczenia.

Co do mnie, wiele pytań zawisło mi na ustach i muszę powiedzieć, że to samo było i z innymi. Dziennikarz usiłował przerwać ogólne skrupowanie opowiadając zabawne anegdoty.

Podróżnik całą uwagę skupił na obiedzie i okazywał apetyt godny włóczęgi. Lekarz ćmił papierosa i spod brwi spoglądał na gospodarza. Milczący Gość wydawał się bardziej jeszcze niezdamny niż zazwyczaj: pił szampana w prawidłowych odstępach czasu z wynikającym ze zdenerwowania zdecydowaniem.

Wreszcie Podróżnik odsunął talerz i rozejrzał się wkoło.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — Niemal umierałem z głodu. Przeżyłem bardzo dziwne chwile. — Wyciągnął rękę po cygaro, obciął je i zapalił.

— Przejdźmy jednak do palarni. Zbyt długa historia, aby ją opowiadać wśród nakryć jadalni.

Nacisnąwszy po drodze dzwonek, poprowadził nas do sąsiedniego pokoju.

— Czy mówiliście o maszynie Blankowi, Dashowi i Josemu? — spytał mnie sadowiąc się w bujaku.

— Ależ cała ta sprawa to przecież żart! — zawołał Redaktor.

— Nie będę się dziś wdawał w dowodzenia. Nie mam zamiaru prawić wam bajek, lecz nie mogę też i wytaczać dowodów. Pragnę tylko — ciągnął dalej — opowiedzieć wam, co mi się wydarzyło, jeżeli zechcecie posłuchać, lecz nie przerywajcie mi. Muszę wam to opowiedzieć. Wiem, że źle na tym wyjdę: większa część tego, co powiem, wyda się wam kłamstwem. Ale niech i tak będzie! Jest to przecież prawda, każde słowo, wszystko co do słowa.

— Byłem w laboratorium jeszcze o czwartej, a od tego czasu... przeżyłem osiem dni takich... takich, jakich dotąd nie przeżyła żadna istota ludzka! Jestem diabelnie znużony, lecz na pewno nie zasnę, dopóki nie opowiem wam wszystkiego. Wtedy dopiero pójdę do łóżka. Ale nie przerywajcie! — zgoda?

— Zgoda — rzekł Redaktor, a pozostali powtórzyli chórem: — Zgoda!

Wówczas Podróżnik w Czasie zaczął opowiadać swe przygody. Z początku siedział w fotelu i mówił jak człowiek zmęczony; potem się ożywił. Spisując tę oto historię czuję, że zbyt marne jest pióro i atrament i zbyt wielka ma nieudolność, bym mógł opowieść jego oddać w całej pełni. Przypuszczam jednak, że przeczytacie z uwagą; szkoda tylko, iż nie możecie widzieć bladej, szczerzej twarzy mówcy w jasnym świetle małej lampy i nie możecie słyszeć jego głosu. Nie będziecie też mieli pojęcia o wyrazie jego twarzy odbijającej koleje przygód. Większość słuchaczy pogrążona była w cieniu, bo nie zapalono świec, i tylko twarz Dziennikarza i nogi Milczącego Gościa od kolan do stóp znajdowały się w oświetleniu. Z początku spoglądaliśmy na siebie. Po pewnym czasie przestaliśmy patrzeć jeden na drugiego i wpatrywaliśmy się już tylko w twarz Podróżnika przybyłego z Krainy Czasu.

ROZDZIAŁ III

W ubiegły czwartek mówiłem niektórym z was o zasadzie, na jakiej zbudowałem wehikuł czasu. Pokazałem w swej pracowni maszynę, jeszcze wówczas nie wykończoną. Stoi ona tam na powrót, trochę zniszczona w podróży. Jeden z prętów z kości słoniowej pękł, jeden drążek brązowy się wygiął, lecz pozostałe części są w dość dobrym stanie. Spodziewałem się, że skończę ją w piątek, lecz tego właśnie dnia, gdym już prawie kończył śniadanie, spostrzegłem, że jeden pręt niklowy jest o cal za krótki, i musiałem to naprawić. Maszyna była więc gotowa dopiero dziś rano. Dopiero więc dzisiaj o dziesiątej pierwszy wehikuł czasu rozpoczął swą czynność. Obejrzałem go po raz ostatni, jeszcze raz sprawdziłem wszystkie śruby, wpuściłem jedną kroplę więcej oliwy na kwarcowy czop i zasiadłem na siodelku. Przypuszczam, że samobójca, który przykłada pistolet do czaszki, doznaje takiego uczucia, jakiego ja doznawałem wówczas wyruszając w podróż po Krainie Czasu. Jedną ręką ująłem dźwignię wprawiającą przyrząd w ruch, drugą ręką zaś hamulec. Nacisnąłem pierwszą dźwignię i niemal natychmiast — hamulec. W tejże chwili doznałem takiego wrażenia, jak gdybym się wywracał; uczucie padania dręczyło mnie niby z mora nocna. Rozejrzałem się dokoła; zobaczyłem tę samą co przedtem pracownię. Cóż więc się stało? Przez chwilę podejrzewałem, że ludźmi mnie własne zmysły. Później spojrzawszy na zegarek. Przed chwilą była może minuta po dziesiątej; teraz już prawie po

wpół do czwartej!

Odetchnąłem, zacisnąłem zęby, ująłem oburącz dźwignię ruchową i szybko ruszyłem. Laboratorium ogarniał coraz głębszy mrok. Pani Watchett, widocznie nie spostrzegłszy mnie, przeszła przez pokój ku drzwiom ogrodu. Przypuszczam, że potrzebowała około minuty na przebycie tej przestrzeni, lecz mnie wydawało się, że przeleciała przez pokój jak rakietą. Przesunąłem dźwignię do ostatniej podziałki: zapadła noc, jakby ktoś zgasił lampę. Uplłynęła chwila, a po nocy znowu nagle zaczął się dzień. Mrok stopniowo wypełniał pracownię. I przemknęła następna czarna noc, później znowu dzień, znowu noc i dzień, i tak dalej, w coraz to mniejszych odstępach czasu. Uszy moje napełniły się szmerem jakiegoś wiru, a na umysł spadła dziwna, ciężka pomroka. Nie wiem, czy zdołałem wyrazić należycie szczególne wrażenia z podróży w czasie, wrażenia bardzo nieprzyjemne. Czuję się jak człowiek wyrzucony z procy i spadający głową w dół. Gdy przyspieszył bieg, noc następowała za dniem niczym ruchy czarnego skrzydła. Niewyraźny, mroczny obraz laboratorium niknął mi z oczu i na powrót widziałem słońce, które bieгло szybko po sklepieniu niebios, przeskakiwało je w ciągu minuty, a każda minuta oznaczała dzień. Zdawało mi się, że laboratorium gdzieś już przepadło, a ja dostałem się na otwartą przestrzeń. Odnosiłem wrażenie, że wznoszę się po stopniach w górę, ale poruszałem się zbyt szybko, bym mógł zdać sobie sprawę z jakiegokolwiek ruchu wokół mnie. Najpowolniejszy ślimak, jaki pełzał kiedykolwiek, dla mnie przebiegał jeszcze zbyt szybko. Zmieniające się kolejno ciemności i światła były niezmiernie uciążliwe dla oczu. W chwilach ciemności widziałem księżyc mknący szybko od pierwszej kwadry do pełni i spostrzegałem słabe migotanie gwiazd krążących po niebie. Teraz, przy ciągle wzrastającej szybkości, drgania nocy i dnia zlały się w jednostajną szarość; sklepienie nieba miało kolor błękitu o cudnej głębokości, oświetlonego wspaniałe poranną jakby zorzą. Żarzące się słońce wyglądało jak ognista smuga, jeden huk świetlany w przestrzeni, a księżyc zmienił się we wstęgę falującego światła. Nie widziałem już gwiazd; widziałem tylko tu i ówdzie wirujące jasne koła na błękitie.

Krajobraz był mglisty i niejasny. Znajdowałem się ciągle jeszcze na stoku wzgórza, na którym stoi obecnie nasz dom; przede mną wznosił się szary, ciemny szczyt. Widziałem drzewa wyrastające i znikające jak opary, to zielone, to szare; rosły, puszczały konary i rozpadały się. Widziałem wyrastające olbrzymie budowle, piękne, lecz jakby za mgłą i znikające jak we śnie. Zdawało mi się, że cała powierzchnia ziemi zmienia się, topnieje i zlewa w mych oczach. Małe wskazówki na tarczach zegarowych, które pokazywały szybkość lotu, krążyły coraz szybciej i szybciej. Zauważyłem teraz, że słoneczna wstęga przesuwa się ciągle to w górę, to w dół, od jednego punktu przesilenia do drugiego w ciągu kilkudziesięciu sekund, jeszcze prędzej, coraz prędzej, że zatem więcej niż rok przebiegam w jednej minucie. Co minuta biały śnieg zasypywał świat i znowu znikał ustępując miejsca jasnej i tak samo szybko przemijającej zieloności wiosny.

Nieprzyjemne wrażenie towarzyszące początkowi podróży mniej dawało się we znaki i w końcu ustąpiło miejsca historycznemu podnieceniu. Spostrzegłem, iż machina chwieje się niezgrabnie, ale przyczyny tego nie umiałem sobie wytłumaczyć. Umysł mój był zanedo wstrząśnięty, aby się skupić, rzuciłem się więc w przyszłość jakby ogarnięty szałem. Z początku nie przyszło mi na myśl zatrzymać się, nie myślałem zgoła o niczym, doznawałem tylko ciągle nowych wrażeń. Nieoczekiwanie jednak zbudziły się we mnie nowe uczucia, pewna ciekawość, a następnie strach, które wreszcie ośwładnęły mną zupełnie.

Co za dziwny rozwój ludzkości! Jakiż niesłychany postęp w naszej, ledwie zapoczątkowanej, cywilizacji może się z czasem dokonać — myślałem wpatrując się bliżej w ten ciemny, mknący świat, który sunął i falował przed moimi oczyma. Widziałem, jak wyrasta dokoła mnie ogromna i wspaniała architektura, dająca nieskończenie wyższe wrażenie potęgi niż wszystkie budowle naszych czasów, a jednak na pozór budowane z blasku tylko i mgły. Widziałem, jak na pochyłości wzgórza rozkrzewia się o wiele bogatsza zieloność, nic z bujności swej nie tracąc w zimowej porze. Ziemia wydawała mi się piękniejsza nawet poprzez tę jakby mgłę oszołomienia. Zapragnąłem wreszcie zatrzymać się.

Szczególnym niebezpieczeństwem grozić mogło to, że w przestrzeni zajmowanej przeze mnie lub przez machinę mogła się znaleźć jakaś materialna substancja. Dopóki podróżowałem w czasie z wielką szybkością, nie miało to znaczenia; byłem, że się tak wyrażę, bezcielesny, przeciskałem się jak para przez odległości dzielące cząsteczki materii. Lecz

Przemijanie

przy zatrzymaniu się groziło mi niebezpieczeństwo uwięzienia w przestworzu, pochwylenia każdej mojej drobiny przez materię spotykaną na mej drodze; moje atomy mogłyby wejść w tak bliski kontakt z atomami przeszkody, iż w rezultacie dokonałyby się głęboka przemiana chemiczna — być może nawet daleko sięgający wybuch, który by i mnie, i mój aparat wyrzucił przez wszystkie możliwe wymiary, aż do dziedziny tego, co nazywamy Nieznanym. Możliwość czegoś podobnego ustawicznie przychodziła mi na myśl, gdy budowałem maszynę; lecz wówczas przyjmowałem to pogodnie jako nie dające się pominąć ryzyko — jedno z tych, na jakie człowiek zawsze musi się odważyć. Teraz, gdy niebezpieczeństwo było rzeczą nieuniknioną, nie widziałem go w tak różowym świetle. W istocie, szczególnie dziwne położenie, w jakim się znalazłem, dręczące brzęczenie i podskakiwanie maszyny, a nade wszystko uczucie długiego spadania w przestrzeń wyczerpało zupełnie moje nerwy. Powiedziałem sobie, że nigdy już chyba nie będę mógł się zatrzymać, i w nagłym porywie złości postanowiłem zatrzymać się natychmiast. Jak niecierpliwy obląkaniec szarpnąłem gwałtownie hamulec; w jednej chwili maszyna zatrzęsa się, a ja poleciałem w przestwór głową naprzód.

W moich uszach rozległ się huk piorunu. Byłem przez chwilę ogłuszony. Dokoła mnie szumiał bez litości grad, ja zaś siedziałem na miękkiej trawie przed wywróconą maszyną. Wszystko wydawało mi się szare, lecz zauważyłem już, że ustał szum w mych uszach. Rozejrzałem się. Byłem, jak się zdaje, w ogrodzie, na małym trawniku otoczonym krzewami rododendronów, i zauważyłem, że ich fioletowe i pąsowe kwiaty sypały się jak deszcz pod ciosami gradu. Spadający i odskakujący grad otaczał maszynę jakby mgłą, a nad ziemią rozpościerał się niczym dym. W jednej chwili przemokłem do nitki.

— Piękna gościnność — zawołałem — okazana człowiekowi, który podróżował niezliczone lata, żeby tu się dostać!

Wówczas zdałem sobie sprawę, jakim szaleństwem było wystawienie siebie na zmknięcie. Stałem i rozglądałem się dokoła. Poprzez ciemny strumień wody majaczył niewyraźnie olbrzymi jakiś kształt na tle rododendronów; była to postać wykuta z białego kamienia. Nic innego zresztą na świecie całym nie widziałem. Wrażenia trudno mi opisać. Gdy smugi gradu ścieniały, zobaczyłem wyraźniej ową białą figurę. Była ogromnej wielkości, bo do jej ramion sięgały górne gałęzie srebrnej brzozy. Marmurowy posąg miał kształt jakby skrzydlatego sfinksa; skrzydła jednak nie były osadzone pionowo po bokach, lecz rozpostarte do lotu. Piedestał, jak mi się zdawało, z brązu, pokrywała gruba warstwa śnieży. Oblicze zwrócone było ku mnie, niewidzące oczy zdawały się mnie bacznie śledzić, a na ustach igrał lekki uśmiech. Twarz silnie zmieniona przez wpływy atmosferyczne miała nieprzyjemny, chorobliwy wygląd. Stałem tak patrząc na olbrzyma czas pewien — pół minuty, a może pół godziny. Doznawałem złudzenia, jakby olbrzym przesunął się i odsunął, zależnie od tego, czy padał gęstszy, czy rzadszy grad. W końcu oderwałem na chwilę od niego oczy i zauważyłem, że zasłona gradowa nabiera przejrzystości, niebo się rozjaśnia, a słońce zaczyna się przebijać przez chmury. Znow spojrzałem na kurczący się biały kształt i nagle stanęło przede mną jasno okropne zuchwałstwo mojej podróży.

„Co będzie — myślałem — co ujrzę, gdy mglista zasłona zniknie już zupełnie? Czego już ludzie nie przeżyli? Co będzie, jeżeli okrucieństwo stało się powszechną namiętnością? Co będzie, jeżeli w ciągu tego czasu rasa zatraciła swe człowieczeństwo i wyrodziła się w coś nieludzkiego, wyzutego z uczuć, a niebywale potężnego? Może ujrzę dzikie zwierzę z dawnego świata, tylko jeszcze straszniejsze i budzące odrazę przez swe podobieństwo do człowieka, wstrętne stworzenie, którego należałoby zabić bez wahania?”

Rozróżniałem już teraz inne wielkie kształty, olbrzymie budynki z krętymi balkonami i smukłymi kolumnami; obok nich porosłe lasem zbocza wysuwały się, jakby pełzły ku mnie. Burza ustawała.

Ogarnął mnie paniczny strach. W szale skoczyłem do wehikułu czasu i starałem się szybko doprowadzić go do porządku. Podczas tej czynności promienie słońca przedarły się przez nawałnicę. Szara zasłona z deszczu rozwiła się jak powłóczysta szata ducha. Nade mną, na ciemnym błękitnie letniego nieba, niewielkie resztki burych chmur kłębiły się znikając powoli. Wokoło stały jasno i wyraźnie olbrzymie budynki błyszczące od wody deszczowej, upstrzone białymi ziarnami tu i ówdzie leżącymi kupkami gradu, który jeszcze nie zdołał stopnieć. Czulem się bezbronny pośród tego dziwnego świata. Czulem niejako to, co może odczuwać ptak w czystym przestworzu, który wie, że nad nim krąży sokół i ma

się nań rzucić. Lęk mój przemieniał się w szal. Wstrzymałem oddech, zacisnąłem zęby i znowu pięścią i kolanami nacisnąłem dźwignię. Poddąła się rozpaczliwemu wysiłkowi i obróciła, uderzając mnie silnie w podbródek. Stałem cały drżący, z jedną ręką na siodle a drugą na kierownicy, gotów wzbić się na nowo.

Wraz z możliwością szybkiego odwrotu wróciła mi także odwaga. Patrzyłem teraz z większą ciekawością, a mniejszą trwogą na ów świat dalekiej przyszłości. W okrągłym otworze umieszczonym wysoko w murze najbliższego domu ujrzałem grupę osób ubranych w kosztowne, jedwabiste szaty. Zobaczywszy mnie, zwróciły ku mnie swe twarze.

Wtedy usłyszałem zbliżające się głosy. W zaroślach około białego sfinksa ukazały się ramiona i głowy biegnących ludzi, a jeden z nich pojawił się na ścieżce wiodącej prosto na trawnik, gdzie stałem wraz z machiną. Był mały, wąty, na cztery może stopy wysoki, odziany w pąsową tunikę, przepasaną skórzanym pasem. Na nogach miał sandały czy trzewiki — nie mogłem dobrze rozpoznać, łydki obnażone aż do kolan i szedł z gołą głową. Dostrzegwszy to zauważyłem też po raz pierwszy, jak bardzo ciepłe jest powietrze.

Zaskoczony byłem urodą i wdziękiem zbliżającej się istoty, jak i niezwykle wątym jej wyglądem. Rumiana twarz przywodziła na myśl urodę gruzlików — ową piękność wynikającą z gorączki i wyczerpania, o której tak wiele się słyszy. Na widok nadchodzącej istoty nagle odzyskałem ufność. Odjąłem ręce od maszyny.

ROZDZIAŁ IV

Po chwili staliśmy naprzeciw siebie: ja i wąta istota przyszłości. On podszedł prosto do mnie i roześmiał mi się w twarz — zdumiał mnie w nim brak wszelkich oznak lęku — następnie zwróciwszy się do dwóch towarzyszy, którzy szli za nim, przemówił do nich dziwnym językiem, bardzo miłym i płynnym.

Podeszło ich więcej i w końcu zebrała się koło mnie niewielka grupa złożona z ośmiu czy dziesięciu pięknych istot. Jeden z przybyłych zaczął coś do mnie mówić. Mnie zaś przyszła do głowy dziwna myśl, że głos mój wydać się im może zbyt twardy i gruby. Potrząsnąłem więc głową i pokazując na uszy potrząsnąłem nią po raz drugi. On tymczasem zrobił krok naprzód, zawahał się, wreszcie dotknął mej ręki. Niebawem uczułem inne lekkie dotknięcia na karku i ramionach. Chcieli upewnić się, że jestem człowiekiem. W tym wszystkim nie było niczego, co mogłoby budzić obawę. Drobny i piękny lud miał w sobie coś budzącego zaufanie: szlachetność pełną wdzięku i dziecinną swobodę. Zresztą wyglądali tak delikatnie, że wydało mi się, iż mógłbym od jednego zamachu cały tuzin ich powalić jak kregle. Zrobiłem jednak nagły ruch dla ostrzeżenia ich, gdym spostrzegł, że drobne ręce zebranych dotykają wehikulu czasu. Na szczęście w porę przypomniałem sobie o niebezpieczeństwie, o którym nie pomyślałem dotychczas: zbliżywszy się do maszyny odśrubowałem małe dźwignie, co ją wprawiły w ruch, i schowałem je do kieszeni. I ponownie zwróciłem się do owych mieszkańców nowego świata, by spróbować porozumieć się z nimi.

Przeglądając się bliżej ich rysom dostrzegłem dalsze jeszcze szczegóły składające się na typ piękności przypominający figurki z saskiej porcelany. Ich kędzierzawe włosy kończyły się nagle nad uszami i karkiem; najmniejszego śladu zarostu nie było na twarzy, uszy zaś mieli prawdziwie maleńkie. Usta także małe, ciemnoczerwone, z wąskimi raczej wargami; małe podbródki kończyły się ostro. Oczy zaś mieli duże i łagodne. Zdawało mi się — ale może to jest tylko pewien egoizm z mej strony — że nie dostrzegłem w nich takiego zaciekawienia, jakiego mogłem przecież oczekiwać.

Widząc, że nie pragną wcale porozumieć się ze mną, lecz tylko stoją dookoła uśmiechając się i mówiąc do siebie miękkiemi, gruchającymi dźwiękami, sam rozpocząłem rozmowę. Wskazałem na wehikul czasu i na siebie. Następnie, po pewnym wahaniu, jak wyrazić czas, podniosłem rękę ku słońcu. W tej chwili dość piękna mała figurka, ubrana w pąsowo-białą szatę, bacznie śledząc ruchy, które wykonywałem, zadziwiła mnie naśladując huk piorunu.

Zawahałem się na chwilę, jakkolwiek znaczenie tego było dosyć jasne. Nagle przyszła mi do głowy myśl, że są to może wariaci. Nie macie pojęcia, jak mnie to zaskoczyło. Wszak wiecie, że zawsze sądziłem, iż ludzie z roku osiemset dwutysięcznego przewyższają nas niewspółmiernie pod względem wiedzy, sztuk, wszystkiego. I oto nagle jeden z nich

zadał mi pytanie, które wskazywało, że pytający stoi na tym samym poziomie, co nasze pięcioletnie dzieci; spytał mnie bowiem, czym spadł ze słońca z uderzeniem piorunu! Osłabiło to w znacznym stopniu sąd, jaki o nich wytworzyłem był sobie na podstawie ich ubrania, delikatności ciała i rysów. Przemknęło mi przez myśl, że nie warto było budować wehikułu czasu. Kiwnąłem głową, wskazałem na słońce i dałem im tak żywe naśladowanie piorunowego huk, że im aż przeraził. Cofnęli się o parę kroków i złożyli ukłon. Następnie jeden z nich zbliżył się do mnie z uśmiechem, przyniósł girlandę pięknych kwiatów, zupełnie mi nie znanych, i włożył ją na mą szyję. Pomysł ten znalazł uznanie ogółu; wszyscy rozbiegli się po kwiaty i wśród ciągłego śmiechu zaczęli mnie obsypywać nimi, aż wkrótce byłem zupełnie zasypany. Trudno wam wyobrazić sobie, jakie misterne i cudne kwiaty wytworzyła natura w ciągu niezliczonych lat.

Któryś z nich przypomniał o widowisku mającym się odbyć w pobliskim budynku. Zaprowadzono mnie więc tam mimo marmurowego sfinksa, który przez cały ten czas spoglądał na mnie z uśmiechem, szydząc jakby z mego zdumienia. Stanęliśmy przed wielką szarą budowlą z ciosanego kamienia. Gdy wchodziłem tam razem z nimi, ogarnęła mnie niepowstrzymana wesołość na wspomnienie mej głębokiej wiary w rozumną i wielce poważną potomność.

Budynek miał olbrzymie wejście i kolosalne rozmiary. Byłem, oczywiście, niezmiernie zaciekawiony rojącym się tłumem małych istot i ciemną, tajemniczą czeluścią rozwartej przede mną bramy. Cały świat wokoło, gdym tak patrzył ponad ich głowami, wydawał mi się skłębioną masą wspaniałych krzewów i kwiatów, niczym ogród od lat nie pielęgnowany, ale też i nie zarosły chwastami. Widziałem mnogość dziwnych białych kwiatów na smukłych łodygach, których płatki były jakby z wosku, a kielichy miały około stopy średnicy. Rosły one tu i ówdzie, jakby w stanie dzikim, pomiędzy krzewami o pręgowanych liściach; lecz nie przyglądałem im się wówczas bliżej. Wehikuł czasu pozostawiłem na łące, pomiędzy rododendronami.

Łuk bramy był bogato rzeźbiony. Nie mogłem, rzecz prosta, bliżej się przyglądać rzeźbom, jednakże rzuciło mi się w oczy, gdym tamtędy przechodził, pewne podobieństwo do ornamentów starofenickich; zdumiało mnie zarazem i to, że były strasznie odrapane i skruszały od słońca i sloty. W bramie spotkałem wielu jeszcze jaskrawo ubranych ludzi i tak weszliśmy razem: ja w ciemnym dziewiętnastowiecznym ubiorze, wyglądający dosyć śmiesznie w wieńcu z kwiatów, i otaczający mnie wirujący tłum jasnych, jaskrawych szat i oślepiająco białych nóg i rąk, w melodyjnym zgiełku śmiechu i hałaśliwych rozmów.

Wielka brama prowadziła do równie wielkiej sali obitej ciemną materią. Sufit tonął w ciemności; okna, po części kolorowe, po części nie oszklone, sączyły łagodne światło. Podłoga była z ogromnych brył białego twardego metalu, z brył, nie z płyt. Powydeptywały ją zmarłe pokolenia, sądząc z głębokich bruzd, które wytwarzały się w miejscach bardziej uczęszczanych. Wzdłuż sali stały niezliczone stoły zrobione z bloków polerowanego kamienia, wzniesione około stopy nad podłogę, a na nich stosy owoców. Niektóre z nich przypominały mi swym wyglądem olbrzymich rozmiarów pomarańcze i maliny, lecz większości zgoła nie znałem.

Pomiędzy stołami leżały wielkie ilości poduszek. Rozsiedli się tam moi przewodnicy dając mi znak, abym uczynił to samo. Bez ceremonii, ale i nie bez wdzięku zaczęli jeść owoce, wrzucając skórki i korzonki w szerokie otwory z boku stołów. Poszedłem za ich przykładem, bo czułem głód i pragnienie. Jednocześnie do woli przypatrywałem się sali.

Najbardziej może zaskoczyło mnie jej zniszczenie. Ułożone w geometryczne figury ramy zakurzonych okien były połamane w wielu miejscach, a na firankach osłaniających dolną ich część leżały grube pokłady kurzu. Zwróciło moją uwagę również to, że róg stołu marmurowego obok mnie był obtłuczony. Niemniej jednak widok ogólny sprawiał wrażenie zróżnicowania i malowniczości. W sali biesiadowało paręset osób; większość, która usiadła, jak mogła najbliżej, spoglądała na mnie z ciekawością, a małe ich oczy żywo błyszczały sponad owoców, które spożywali. Wszyscy byli odziani w tę samą miękka, lecz mocną jedwabną materię.

Mimoходом muszę zauważyć, że owoce były ich jedynym pokarmem. Ten lud dalekiej przyszłości hołdował ścisłemu wegetarianizmowi. Dopóki byłem z nimi, wbrew ochocie na mięso musiałem również być owocożercą. I rzeczywiście, przekonałem się później, że konie, bydło, owce, psy za ichtiozaurem przeszły do niebytu. Ale owoce by-

ły doskonałe. Szczególnie jeden, dojrzewający prawdopodobnie w tym czasie, mączysty trójkątny owoc — był wyjątkowo dobry i stał się mym przysmakiem. Z początku te dziwne owoce wprawiały mnie w kłopotliwy podziw; to samo było z osobliwymi kwiatami, jakie tam widziałem; później jednak zacząłem pojmywać rację ich bytu... Mówię atoli o mym obiedzie z owoców w dalekiej dopiero przyszłości... Skoro więc tylko zaspokoilem trochę apetyt, postanowiłem nieodwołalnie starać się o poznanie języka tych nowych ludzi.

Była to, naturalnie, pierwsza rzecz do zrobienia. Owoce wydawały mi się właściwym tematem na początek nauki, trzymając więc jeden z nich w ręku, zacząłem wydawać z siebie cały szereg pytających dźwięków i gestów. Miałem niemałą trudność w wyrażaniu swych myśli. W pierwszej chwili usiłowania moje spotykały się z wejrzeniem pełnym zdumienia lub niewysłowionym wdzięcznym śmiechem. Zawsze jednak mała jakaś osóбка o jasnych włosach po chwili odgadywała mój zamiar i wymawiała żadaną nazwę. Naradzali się i rozprawiali na ten temat między sobą, zaś pierwsze moje próby naśladowania drobnych dźwięków ich mowy wywoływały jedynie ogromną wesołość. Ja jednak, zachowując się tak, jak bakałarz pośród dzieci, wytrwałem w postanowieniu i wkrótce już miałem do rozporządzenia około dwudziestu rzeczowników; następnie przeszedłem do zaimków wskazujących i nawet do czasownika „jeść”. Lecz była to praca powolna i mały ludek wkrótce znudził się, i starał się unikać moich zapytań, tak iż z konieczności przystałem na to, że będą mi dawali lekcje w małych dozach, kiedy sami będą mieli na to ochotę. Ale przekonałem się niebawem, że nauka języka w takich dozach przeciągnie się w nieskończoność, bo nigdy nie spotkałem ludu gnuśniejszego i łatwiej ulegającego zmęczeniu.

Rychło odkryłem w moich małych gospodarzach rzecz zadziwiająca: zupełny brak ciekawości. Przychodzili do mnie z głośnymi okrzykami podziwu jak dzieci, lecz również jak dzieci szybko przestawali się mną zajmować i szli dalej poszukując nowej zabawki. Gdy skończył się obiad i moja pierwsza lekcja konwersacji, zauważyłem po raz pierwszy, że odeszli prawie wszyscy, którzy pierwiej mnie otaczali. Dziwna rzecz, jak szybko przestałem być zajmujący dla tego małego ludu! Wyszedłem znowu przez bramę na światło dzienne, jak tylko zaspokoilem głód. Idąc spotykałem coraz to więcej ludzi przyszłości, którzy szli za mną w niewielkiej odległości paplając i śmiejąc się ze mnie, a potem, uśmiechnąwszy się i zrobiwszy parę serdecznych gestów, pozostawiali mnie własnemu przemyślowi.

Na świecie zapadał już cichy wieczór, a gdy wyszedłem z wielkiej sali, widnokrąg był oświetlony ciepłym blaskiem zachodzącego słońca. Z początku wszystko mnie dziwiło, tak różne było to od świata, który znałem — nawet kwiaty. Wielki szary budynek zbudowany był na zboczu szerokiej doliny rzecznej. Tamiza bowiem oddaliła się była chyba na milę od swego położenia dzisiejszego. Postanowiłem wejść na wzgórze, oddalone o półtorej może mili, skąd mógłbym mieć rozleglejszy widok na naszą planetę Anno Domini 802 701. Bo muszę zaznaczyć, że taką datę wskazywała mała tarcza w mojej machinie.

Chodząc zwracałem uwagę na każdy szczegół, który by mógł mi wyjaśnić ową ruinę świetności, jaką wydał mi się świat przyszłości, gdyż istotnie były to tylko ruiny. Wchodząc na pagórek spostrzegłem, na przykład, ogromną masę brył granitowych zlepionych z sobą za pomocą aluminium; wielki labirynt stromych urwisk i potrzaskanych złomów, pośród których pleniły się kępy gęstych krzewów — być może pokrzyw — lecz o pięknych, brunatno nakrapianych liściach, które nie parzyły. Widocznie były to zwaliska jakiegoś kolosalnego budynku; przeznaczenia jego w żaden sposób dojść nie mogłem. W tym miejscu sądzono mi było uczynić pierwszy krok do bardzo dziwnego odkrycia — lecz o tym powiem we właściwym czasie.

Rozglądając się dookoła z wzniesienia, gdzieś się dla odpoczynku zatrzymał, stwierdziłem nagle, że nie widać tu zgoła małych budynków. Prawdopodobnie dom pojedynczy już się dawno rozpląnął we mgle, a może nawet i pojedyncza rodzina. Tu i ówdzie ponad zielonością wznosiły się budynki podobne do pałaców, lecz dom i zagroda wiejska, które stanowią tak charakterystyczny rys w krajobrazie angielskim, już znikły. — Komunizm! — rzekłem sobie.

Ale myśl tę zaraz spłoszyła inna. Patrzałem na pół tuzina drobnych postaci, które szły moim śladem. Nagle postrzegłem, że wszyscy mają jednakowy krój szat, takie same słodkie twarze bez zarostu, taką samą dziewczęcą krągłość nóg. Może się to wydać dziwne,

że nie zauważyłem tego poprzednio. Lecz wszystko tutaj było tak niezwykle!

Teraz stwierdziłem ten fakt w zupełności. Odmienności w ubiorze, różnic w budowie i zachowaniu się, które dziś wyodrębniają jedną płć od drugiej, ów lud przyszłości nie znał wcale; dzieci zaś, w moich oczach, były tylko miniaturowym odbiciem rodziców. Doszedłem do wniosku, że młode pokolenie przyszłości odznacza się przedwczesnym rozwojem, przynajmniej pod względem fizycznym, a późniejsze spostrzeżenia utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

Widząc dobrobyt i bezpieczeństwo, w którym żył ten lud, zrozumiałem, że podobenstwo płci będzie ostatecznie tym, czego należy oczekiwać, bowiem siła mężczyzny i miękkość kobiety, instytucja rodziny i różnica zawodów są tylko konieczną potrzebą wojowniczego wieku siły fizycznej. Gdy przyrost ludności jest wyrównany i liczebnie obfity, wysoka liczba urodzeń staje się raczej klęską niż błogosławieństwem państwa. Kiedy klęski są rzadkością, a potomstwo żyje bezpiecznie, mniej potrzebna, a nawet zupełnie niepotrzebna staje się liczna rodzina. Znika też wśród obojga płci podział funkcji w związku z wychowaniem dzieci. Początki tego widzimy już nawet w naszych czasach, a w owych przyszłych wiekach taki stan rzeczy zupełnie się już ustali. Tak wówczas, powiadam wam, myślałem sobie. Później dopiero przekonałem się, jak dalece mijają się to z rzeczywistością.

Podczas tych rozmyślań uwagę moją zwrócił ładny budynek podobny do studni osłoniętej kopułą. Przemknęła mi przez głowę myśl, iż istnienie studni w przyszłości jest co najmniej dziwaczne, i zacząłem dalej snuć swe przypuszczenia. Nie było większych budynków na wierzchołku wzgórza, a ponieważ widocznie mam nogi nadzwyczaj uzdolnione do marszu, nieoczekiwanie znalazłem się po raz pierwszy sam. Tęskniąc już do swobody i przygody puściłem się na wierzchołek wzgórza.

Tam znalazłem ławkę z jakiegoś żółtego, nieokreślonego metalu, tu i ówdzie nadźartej czerwoną rdzą i na wpół obrosłego miękkimi mchami; poręcze miały kształt głów gryfów. Usiadłem na niej i patrzyłem na rozległy widok starego świata o zmroku tego długiego dnia. Widok był miły i piękny, taki, jakiego nigdy w życiu nie widziałem. Słońce schowało się już było pod widnokrąg, a zachód oblał się świecącym złotem, które przecinało kilka poziomo idących pasów czerwieni i purpury. Poniżej była dolina Tamizy, a w niej leżała rzeka jak wstęga polerowanej stali.

Mówiłem już o olbrzymich pałacach rozrzuconych wśród bogatej zieloności, o pałacach zarówno rozsypujących się w gruzy, jak i ciągle jeszcze zamieszkiwanych. Gdzieś tam w tym olbrzymim niby-ogrodzie wznosiły się białe i srebrzyste posągi; tu i ówdzie odcinała się ostra linia kopuły lub obelisku. Nie było płotów, nie było znaków prawa własności, nie było śladów rolnictwa: cała ziemia stała się jednym ogrodem. Tak rozmyślając, pragnąłem ustalić swój pogląd na rzeczy, które oglądałem, a pogląd ten — tak przynajmniej kształtował się on w moim umyśle owego wieczora — był mniej więcej taki, jaki tu wyłożę. (Później przekonałem się, że odkryłem tylko połowę prawdy, a raczej, że dostrzegłem przeblysłk jednej tylko płaszczyzny brylantu).

Mniemałem wówczas, że się natknąłem na ludzkość bliską już upadku. Czerwony zachód słońca przywiódł mi na myśl zachodzące słońce ludzkości. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę ze straszliwych skutków społecznych reform, jakich obecnie dokonujemy. Owa teraźniejszość — pomyślałem — jest jedynie logicznym następstwem przeszłości. Siła może być tylko dziedzictwem potrzeby; bezpieczeństwo daje w nagrodę niemoc. Praca nad ulepszeniem warunków życia — prawdziwa działalność cywilizacyjna, która czyni życie coraz to bezpieczniejszym, wznosiła się ustawicznie przez wieki na coraz wyższe szczeble. Jeden triumf zjednoczonej ludzkości nad przyrodą następował po drugim. To co jest obecnie marzeniem, stało się projektem rozważnie ułożonym i wykonanym. A plonem było to właśnie, co ja ujrzałem.

Mimo wszystko higiena publiczna i rolnictwo doby obecnej znajdują się dopiero w stanie początkowym. Wiedza naszej doby dotknęła tylko małej części z rozległej dziedziny chorób ludzkich; choć, co prawda, nawet w tym stanie rozszerza swą działalność ustawicznie i wytrwale. Nasze rolnictwo i ogrodnictwo tu i ówdzie tępi chwasty i uprawia zaledwie około dwudziestu roślin użytecznych, pozostawiając reszcie roślin walkę o zachowanie równowagi, o ile zachować ją zdołają. Ulepszamy wybrane rośliny i zwierzęta — jakże niewiele ich jest — stopniowo przez dobór: dziś nowy i lepszy gatunek brzo-

Kobieta, Mężczyzna

Postęp

skwini, to znowu winogrono bez pestek, kwiat silniej pachnący i większy lub odpowiedniejsza rasa bydła. Ulepszamy stopniowo, bowiem ideały nasze są równie nieokreślone, jak kuszące, a nasza wiedza bardzo ograniczona; bo wreszcie przyroda jest lekliwa i oporna w naszych niezgrabnych rękach. Kiedyś będzie to organizowane lepiej i coraz lepiej. W tym kierunku bowiem dążyć będzie wszystko mimo przeciwności. Świat cały stanie się inteligentny, wykształcony i współdziałający; wszystko dążyć będzie coraz szybciej i szybciej do podbicia przyrody. W końcu, rozumnie i ostrożnie, przystosujemy równowagę życia zwierzęcego i roślinnego do ludzkich potrzeb.

Sądzę też, że cel ów osiągnięto z pomyślnym skutkiem w czasie, który przeskoczyła moja machina.

Powietrze było wolne od komarów, ziemia — od chwastów i grzybów; wszędzie były owoce i wonne, piękne kwiaty; tu i ówdzie fruwały wspaniałe motyle. Udoskonalono medycynę zapobiegawczą, wygnano chorobę. Podczas mojego pobytu nie widziałem zgoła oznak jakichkolwiek chorób zakaźnych. A opowiem wam później, jak głębokim przeobrażeniem wskutek przemiany cywilizacji uległ nawet proces gnicia i rozkładu.

Odniesiono też i triumfy społeczne. Widziałem ludzkość zamieszkującą wspaniałe siedziby, pysznie odzianą, i od pierwszej chwili pobytu w krainie przyszłości nie dostrzegłem jeszcze wcale ludzi pracujących. Nie było śladów walki, zarówno społecznej, jak i ekonomicznej. Do przeszłości już należały sklep, reklama, ruch miejski, cała ta handlowość, która stanowi ciało naszego świata...

Nic więc dziwnego, że w ciszy złotego wieczora aż podskoczyłem na samą myśl o raju społecznym. Przypuszczałem, iż poradzono sobie z tą przeszkodą, jaką jest przyrost ludności, i ludność też wzrastać przestała.

Lecz wraz ze zmianą warunków przychodzi też i nieuchronne przystosowanie się do zmiany. Jeżeli wiedza biologiczna nie jest jedynie stekiem błędów, co zatem pobudza inteligencję i energię człowieka? Trudy i wolność: oto warunki, pośród których człowiek czynny, silny i rozważny ostaje się, a słabszy ginie, i które wynagradzają współdziałanie ludzi zdolnych, wynagradzają opanowanie, stanowczość i cierpliwość. A instytucja rodziny i wszystkie te uczucia, które w niej i z niej powstają, dzika zazdrość, troska o potomstwo, poświęcenie rodziców — wszystko to znajdowało usprawiedliwienie i poparcie w związku z niebezpieczeństwami grożącymi młodemu pokoleniu. Gdzie są obecnie owe grożące niebezpieczeństwa? Powstaje oto i rośnie ciągle nowy prąd: przeciwko zazdrości małżeńskiej, przeciwko wybujałemu macierzyństwu, przeciwko namiętności wszelkiego rodzaju. Wszystkie te rzeczy są już teraz sprzeczne z potrzebami wygodnego życia jako przytyku barbarzyńskiej epoki, zgrzyty w bycie wykwinnym i przyjemnym.

Pomyślałem sobie o wątych istotach przyszłości, o ich słabej inteligencji, o ogromnych, a tak licznych ruinach i przypomnienie to potwierdziło tylko moją wiarę w doskonałe podbicie przyrody przez człowieka przyszłości. Po walce bowiem następuje pokój. Ludzkość była dawniej silna, energiczna, inteligentna i użyła swej bujnej żywotności do zmieniania warunków, w których żyła. I teraz nastąpiło oto oddziaływanie owych zmienionych warunków, bowiem wśród doskonałej wygody i bezpieczeństwa niestrudzona energia, która w nas jest siłą, staje się słabością.

Nawet w naszych czasach pewne dążności i pragnienia, niegdyś konieczne do życia, mogą być źródłem niepowodzeń. Odwaga fizyczna i umiłowanie walki, na przykład, niewielką są dziś pomocą; mogą nawet okazać się przeszkodą dla człowieka cywilizowanego, zaś w stanie absolutnego bezpieczeństwa i równowagi fizycznej umysłowe, jak i fizyczne zalety będą najzupełniej zbyteczne. Od niezliczonych już lat — myślałem sobie — nie było tu ani grozy wojny, ani gwałtu jednostki; nie było też niebezpieczeństwa ze strony dzikich zwierząt; nie było epidemii oszczędzającej jedynie silnie fizycznie jednostki ani wreszcie potrzeby pracy. Do takiego życia ci, których nazywamy słabymi, są równie dobrze przystosowani jak silni; słabi już nie są w istocie słabi — co więcej, daleko bardziej przystosowują się oni do warunków życia, gdy tymczasem silnych pożera energia, dla której nie znajdują ujścia. Bez wątpienia, wyszukana piękność budynków, na które patrzyłem, była wynikiem ostatnich wysiłków bezcelowej już energii ludzkiej, bujnym rozkwitem poprzedzającym erę wiecznego pokoju, w którym ludzkość doszła do idealnie harmonijnego zespolenia się z warunkami, w jakich żyła. Taki los spotykał zawsze ener-

gię w bezpieczeństwie: zwracała się ona do sztuki i erotyzmu, a po nich znowu zawsze przychodziła słabość i rozkład.

W czasach, na które patrzyłem, ów pęd do sztuki wygasł już był zupełnie. Ustroić się w kwiaty, potać się, pośpiewać w świetle słonecznym: tyle tylko pozostało z artystycznych zamiłowań — nic więcej. A i to nawet zaniknie wśród radosnej beczynności. My, ludzie, ostrzemy się na kamieniu szlifierskim bólu i konieczności, a tutaj doznałem właśnie wrażenia, jak gdyby ów nienawistny kamień nareszcie został skruszony.

Gdy tak stałem przy zapadającym coraz bardziej zmierzchu, zdawało mi się, że w tym prostym objaśnieniu ujął zagadkę świata — całą tajemnicę tego rozkosznie żyjącego ludu. Prawdopodobnie środki, jakich użyli przeciw przyrostowi ludności, były aż nadto skuteczne i zaludnienie raczej się zmniejszało, niż utrzymywało w mierze. To tłumaczyło istnienie opuszczonych ruin. — Bardzo proste było moje objaśnienie i chyba łatwe do przyjęcia, jak to się dzieje z większością teorii opartych na błędzie.

ROZDZIAŁ V

Gdy tak stałem rozmyślając o tym nazbyt doskonałym triumfie człowieka, księżyc w pełni, żółty i wypukły, wzeszedł na północo-wschodzie w powodzi srebrzystego światła. Jasne, drobne figurki przestały się uwijać. Przeleciała milcząca sowa. Chłód nocy przejmował mnie dreszczem. Postanowiłem zejść i poszukać miejsca na nocleg.

Spojrzałem na znany mi już budynek, po czym wzrok mój powędrował ku postaci białego sfinksa na brązowym piedestale; posąg stawał się coraz wyraźniejszy, w miarę jak rozjaśniało się światło wschodzącego księżyca. Widziałem srebrną brzozę obok niego. Spozstrzegłem kępę rododendronów, ciemniejącą w bladym świetle, i mały trawnik, na który jeszcze raz się obejrzałem. Dziwny niepokój zmroził pogodę mego umysłu. — Nie — powiedziałem sobie śmiało — to nie jest ten trawnik.

A jednak to był ten sam trawnik! Biała, trędowata twarz sfinksa zwrócona była ku niemu. Czy wystawicie sobie wrażenie, jakiego naraz doznałem? Nie, nie zdołacie sobie wyobrazić. — Mój wehikuł czasu zniknął!

Nagle, niczym cios w twarz, uderzyła mnie myśl, iż na zawsze może utraciłem mój świat, który zostawiłem, i bez ratunku już pozostanę tu w nowym, tak dziwnym, tajemniczym świecie... Sama myśl o tym sprawiała mi najprawdziwszy fizyczny ból. Czulem, że chwytła mnie on za gardło i dusi. Po chwili ogarnął mnie paniczny strach, w podskokach biegłem wielkimi susami po pochyłości. Raz upadłem jak długi, podrapałem sobie twarz, pokaleczyłem się, ale nie traciłem czasu na tamowanie krwi. Skakałem i biegłem, wciąż czując ciepłą strugę na twarzy i podbródku. Przez cały czas mówiłem sobie: — Odsunęli go cokolwiek, zepchnęli w krzaki na ścieżkę.

Biec jednak nie przestawałem i pędziłem, co sił w nogach. A jednak przez cały ten czas byłem przekonany, że nastąpi coś strasznego; wiedziałem, że owo pocieszenie się nadzieją jest niedorzeczne. Instynktownie czulem, że raz na zawsze utraciłem moją machinę. Oddychałem z trudnością. Przypuszczam, że całą odległość od wierzchołka do trawnika, jakies dwie mile angielskie, przebiegłem może w dziesięć minut; a przecież nie jestem już młody. Biegając kłamię głośno mą szaloną lekkomyślność i traciłem oddech od krzyku. Krzyczałem głośno, lecz nikt nie odpowiadał. Żadna żywa istota nie zaszemrała nawet w tym świecie oświetlonym przez księżyc.

Gdy dobiegłem do trawnika, ziściły się moje najgorsze obawy. Machiny — ani śladu! Zrobiło mi się słabo i zimno, gdy spojrzałem na pustą przestrzeń wśród ciemnych rododendronów. Z wściekłością biegałem dookoła, szukając machiny w czarnej gęstwinie krzaków, albo też przystawałem nagle, w szale rwąc włosy. Nade mną wznosił się sfinks na brązowym piedestale, biały, jaśniejący, trędowaty w urocznym świetle księżyca; wyglądał tak, jakby się uśmiechał szydząc z mojego nieszczęścia.

Mogłem się być pocieszyć tym, że to mali ludzie schowali gdzieś może machinę, gdybym nie był przekonany o ich nieudolności fizycznej i umysłowej. I oto zaczęła nurtować mnie świadomość istnienia jakiejś nie znanej mi potęgi, która pozbawiła mnie wehikułu! Jednego tylko byłem pewny, że choćby na tym tu świecie zrobiono dokładną kopię machiny, to nie będzie ona mogła poruszać się sama w czasie. Sposób przymocowania dźwigni — który pokażę wam później — uniemożliwiał puszczenie jej w ruch po odjęciu dźwigni. Zabrano ją jednak z miejsca i ukryto... tylko gdzie, gdzie?

Sądzę, że musiał wpaść w szal. Pamiętam, że biegałem gwałtownie w jedną i drugą stronę dookoła sfinksa pomiędzy drzewami oświetlonymi przez księżyc i spłoszyłem jakieś białe zwierzę, które w ciemnościach wziąłem za małego jelonka lub sarnę. Pamiętam również, że podczas tej nocy waliłem w krzaki zacisniętymi pięściami, aż podrapałem dłonie do krwi — istotnie, krwawiły od łamanych gałęzi.

Po tym wszystkim łkając i szlochając z rozpaczy dopadłem do dużego budynku z kamienia.

Wielka sala była ciemna, cicha i opuszczona. Pośliznąłem się na nierównej podłodze i upadłem na malachitowy stół, silnie tłukąc sobie udo. Zapaliłem zapalkę. Szedłem dalej, aż znalazłem się za ową zakurzoną zasłoną, o której już mówiłem poprzednio.

Stamtąd wszedłem do drugiej wielkiej sali zasłanej poduszkami, na których spało około dwudziestu może małych istot. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że moje powtórne zjawienie się przejęło ich zdumieniem, nagle bowiem pozrywali się wydając bezmyślne głosy, dziwiąc się przy tym trzaskowi i światłu zapalki; zapomnieli już bowiem o zapalkach.

— Gdzie mój wehikul czasu? — wrzeszczałem jak rozszluzzone dziecko szarpiąc ich i potrząsając jednego po drugim.

Musieli patrzeć na mnie jak na wariata. Niektórzy śmiali się, inni spoglądali z bolesnym przerażeniem. Otoczyli mnie kołem. Wpatrywałem się w nich już teraz spokojniej; wróciła mi rozwaga. Zrozumiałem, że postępuję jak głupiec, jak tylko można najgorzej w danych warunkach, starając się obudzić w nich uczucie strachu. Powinienem był wiedzieć, wnioskując z ich zachowania w ciągu dnia, że przecież musieli już zapomnieć, co to strach.

Nagle rzuciłem zapalkę i potrącając jednego z nich w biegu wpadłem na oślep z powrotem do jadalni i wybiegłem na światło księżyca. Usłyszałem za sobą przerażone głosy i szybkie stąpanie drobnych nóżek. Biegali bezładnie i potykali się. Nie przypominam sobie już, co robiłem, gdy tymczasem księżyc wzbił się wysoko na niebie. Przypuszczam, że nieprzewidziana strata — strata jedyna w swym rodzaju — doprowadziła mnie do szaleństwa. Czulem, że jestem bez nadziei odcięty od mego świata, w którym żyłem, że jestem dziwnym zwierzęciem w nieznanym kraju. Miotałem się ustawicznie, krzycząc i wyrzekając głośno na Boga i los. Pozostało mi wspomnienie strasznego znużenia po długiej nocy spędzonej w rozpaczy; pamiętam żywo, jak patrzyłem to w jedną, to w drugą stronę, jak pełzałem wśród ruin oświetlonych przez księżyc natykając się na dziwne jakieś istoty w czarnym cieniu. Wreszcie, gdy położyłem się na trawie niedaleko sfinksa, zapłakałem w skrajnej rozpaczy.

Nic mi też nie pozostało, prócz rozpaczy.

Potem usnąłem, a gdy się przebudziłem, dzień już był jasny i para wróbli podskakiwała na trawie koło mnie. Mogłem ich dosięgnąć ręką.

Podniosłem się czując świeżość poranku, starając się przypomnieć sobie, jak się tu dostałem i dlaczego odczuwam tak wielkie opuszczenie i rozpacz. Naraz rozjaśniło mi się w głowie. W pełnym, otrzeźwiająjącym świetle dnia mogłem już odważnie rozejrzeć się w mym położeniu. Spostrzegłem szalony nierozum, jaki wykazałem ubiegłej nocy, i byłem już teraz w stanie wszystko sobie rozważyć. Przypuśćmy, że stało się najgorsze — powiedziałem — przypuśćmy, że machina przepadła, może została zniszczona. Wypada być spokojnym, cierpliwym, obeznać się ze zwyczajami ludu, dowiedzieć się, w jaki sposób poniosłem stratę, przekonać się, czy nie mógłbym dostać potrzebnych materiałów i narzędzi dla zrobienia w ostateczności nowej zupełnie maszyny. Niechże to będzie moja jedyna nadzieja. Licha to nadzieja, co prawda, ale w każdym razie lepsza od rozpaczy. A poza tym obcy świat wokół mnie był piękny i ciekawy.

Prawdopodobnie jednak machina była tylko gdzieś schowana. Powinienem być spokojny i cierpliwy, odnaleźć miejsce jej ukrycia i odzyskać ją siłą lub podstępem.

Z tą myślą podniosłem się i zacząłem upatrywać miejsca, gdzie mógłbym się wykąpać. Czulem się zmęczony, odrętwiały, zabrudzony po podróży. Świeżość poranku wzbudziła we mnie chęć odświeżenia się. Wzburzenie moje minęło. Rzeczywiście, gdy się lepiej zastanowiłem, sam dziwiłem się swemu niezwykłemu podnieceniu owej nocy. Starannie zbadałem grunt koło trawnika. Straciłem trochę czasu na próżne zapytania, z którymi się zwracałem, o ile mogłem, do przechodzących drobnych ludzi. Nie rozumieli mojej

mimiki; niektórzy po prostu milczeli; inni sądzą, że to żart, i śmiali się ze mnie. Miałem jedno z najtrudniejszych na świecie zadań: musiałem powstrzymać me ręce, rwące się do ich ślicznych, uśmiechniętych twarzątek. Był to jakiś wariacki szal; lecz lichy zrodzony ze ślepego strachu i gniewu z trudnością daje się okiełznać, ciągle gotowe skorzystać z miotającego mną niepokoju.

Lepsze wskazówki dała mi darń. Znalazłem na niej bruzdę między piedestałem sfinksa, a śladami mych stóp w miejscu, gdzie zaraz po przybyciu mocowałem się z wywróconym wehikułem. Były inne jeszcze ślady usunięcia przyrządu: dziwnie wąskie, drobne odciski stóp, podobne do tych, jakie mógłby pozostawić po sobie chyba leniwiec — on to bowiem przyszedł mi na myśl. Skierowało to moją uwagę na piedestał.

Zdaje mi się, iż wam mówiłem, że piedestał był z brązu. Nie była to naga tylko bryła, ze wszystkich bowiem stron zdobiły go kunsztownie rzeźbione płyty. Podeszedłem bliżej i uderzyłem w jedną z płyt; piedestał był wewnątrz pusty. Przyglądając się uważnie płytom przekonałem się, że nie tworzą całości z obramowaniem. Nie było w nich rączek ani dziurek od kluczy i jeżeli tablice te istotnie były drzwiczkami, mogły się otwierać tylko od wewnątrz. Jedno już teraz było dla mnie dostatecznie jasne: nie musiałem się zbytnio zastanawiać, by się domyślić, iż mój wehikul czasu znajduje się wewnątrz piedestału. Inna sprawa: jak się tam dostał?

Spostrzegłem głowy dwóch ludzi ubranych na pomarańczowo, którzy szli ku mnie przez zarośla pod okrytymi kwieciami jabłoni. Zwróciłem się z uśmiechem i kiwnąłem na nich; podeszli. Wskazując piedestał, starałem się wyłożyć im swe żądanie, aby mi go otworzyli. Lecz ludzie owi po pierwszym moim ruchu zachowali się w prawdziwie dziwny sposób. Nie wiem, jakim wyrazem mam określić ich miny. Przypuśćcie, że uczyniliście wysoce nieprzyzwoity gest wobec subtelnej kobiety, a będziecie mieli to, na co ja patrzałem. Odeszli, jakby ich spotkała najwyższa obraza. Zupełnie z takim samym skutkiem zapytałem później miłego jakiegoś chłopczyka w białym stroju. Widząc jego zachowanie zacząłem, do pewnego stopnia, wstydić się za siebie. Lecz, jak wiecie, musiałem odzyskać koniecznie wehikul czasu; spróbowałem raz jeszcze go zapytać. Gdy się odwrócił jak inni, straciłem cierpliwość. W trzech susach znalazłem się koło niego, chwyciłem go za kark i zacząłem ciągnąć do sfinksa. Spojrzałem mu w twarz: było na niej przerażenie i odraza. Puściłem go wolno.

Nie uznałem się jednak za pobitego. Wałęsam pięściami w brązową tablicę. Zdawało mi się, że słyszę wewnątrz jakiś szmer — dokładnie mówiąc — sądziłem, że słyszę dźwięki podobne do chichotu. Ale musiałem się mylić. Wziąłem duży kamień znad rzeki, wróciłem i dopóty kulem nim w podstawę, dopóki nie spłaszczyłem wypukłego obramowania. Śniedź z tablicy odpadała małymi płatkami. Drobny ludek musiał słyszeć w odległości dwóch mil angielskich dokoła, jak kulem uderzając gwałtownie, lecz nikt nie nadchodził. Całą gromadę ich widziałem na pochyłości pagórka; spoglądali na mnie lękliwie, ukradkiem. Wreszcie zmęczony, zziębnięty usiadłem, zamierzając pilnować tego miejsca. Nie byłem jednak w stanie czuwać długo, bo się bardzo niepokoiłem. Zbyt wiele jest we mnie cech człowieka Zachodu, abym mógł czekać beczynn timer. Mogę lata pracować nad jednym zagadnieniem, ale co innego czekać dwadzieścia cztery godziny beczynn timer.

Po pewnym czasie odszedłem i zacząłem bez celu przechadzać się po zaroślach w okolicy pagórka.

— Cierpliwości — mówiłem do siebie. — Jeżeli chcesz odzyskać maszynę, powinienś zostawić sfinksa w spokoju. Jeżeli zamierzają ci ją wydrzeć, nic dobrego nie przyjdzie z psucia brązowych tablic; jeżeli zaś nie mają takiego zamiaru, to ci ją zwrócą, jak tylko będziesz umiał się o nią zapytać. Nie ma sensu dociekać wszystkich tych tajemnic i zagadek, bo to prosta droga do obłądzenia. Staraj się zrozumieć ten świat. Poznaj jego obyczaje, rozglądaj się baczenie, wystrzegaj się zbyt pochopnych wniosków. W końcu znajdziesz klucz do wszystkiego.

Myśl o latach, jakie spędziłem na badaniach i pracy, by znaleźć się kiedyś w przyszłości, i gwałtowne pragnienie, by się z niej teraz wydostać, ukazały mi całą śmieszność mego położenia. Sporządziłem na siebie najbardziej skomplikowaną i beznadziejną pułapkę, jaką kiedykolwiek człowiek wymyślił. A chociaż sam wszystko zrobiłem, sam już nic odrobić nie zdołałem. I zacząłem się śmiać na całe gardło.

Przechodząc przez ogromny pałac zauważyłem, że mały ludek mnie unika. Może tak mi się tylko zdawało, a może miało to pewien związek z moim szturmowaniem do brązowych wrót. W każdym razie byłem pewny, że mnie unikają. Staralem się jednak nie zwracać na to uwagi i w ciągu dnia lub dwóch wszystko powróciło do dawnego stanu. Czyniłem takie postępy w ich mowie, na jakie tylko stać mnie było, a nadto prowadziłem tu i ówdzie badania. Co się tyczy nauki języka, możliwe jest, że nie pojąłem jego subtelności, a może też język ten odznaczał się nadmierną prostotą — składał się on bowiem prawie wyłącznie z rzeczowników i czasowników. Prawdopodobnie mało w nim było — jeżeli w ogóle były — pojęć oderwanych. Również rzadko używano przenośni. Mowa ich składała się zasadniczo ze zdań prostych, z dwóch nawet wyrazów złożonych, i nie udawało mi się wyrazić ani też pojąć nic prócz najprostszycch myśli. Postanowiłem sprawę wehikulu i tajemnicę drzwi brązowych pod sfinksem ukryć w najdalszym zakątku pamięci, dopóki pogłębiająca się znajomość języka nie doprowadzi mnie na powrót do nich w sposób już naturalny.

Pewne jednakże uczucia, jak pojmujecie, trzymały mnie wciąż na uwięzi w promieniu paru mil od miejsca, gdzie wylądowałem.

O ile mogłem zauważyć, wszędzie panował taki sam bujny rozkwit, jak w dolinie Tamizy. Z każdego pagórka, na jaki wszedłem, widziałem mnogość wspaniałych budowli urozmaiconych w nieskończoność pod względem stylu i materiału. Takie same kępy drzew wiecznie zielonych, takie same drzewa obciążone kwieciami i olbrzymie niczym drzewa paprocie. Tu i ówdzie błyszcząca woda jak srebro, a dalej łąd podnosił się w faliste niebieskawe pagórki i gdzieś daleko zlewał się z błękitem nieba.

Niezwykłym szczegółem, który mnie teraz przed innymi zaciekał, były osobliwego rodzaju okrągłe studnie; niektóre z nich, jak mi się zdawało, sięgały znacznej głębokości. Jedna znajdowała się przy ścieżce wiodącej na wzgórze, tej samej, którą szedłem w pierwszej mojej wędrówce. Studnia ta podobnie jak inne była okuta brązem, misternie wykończona i osłonięta niewielką kopułą od deszczu. Siedząc przy takiej studni i patrząc w czarną otchłań nie dostrzegłem wcale odbłasku wody, nie mogłem też spostrzec odbijającego się światła zapalki. Lecz we wszystkich słyszałem jakiś łoskot, jakby odgłos wielkiej maszyny. Po płomieniu zaś zapalki poznałem, że w te szyby wpływał stały prąd powietrza. Później w gardziel jednej studni rzuciłem skrawek papieru; nie spadł powoli na dół, lecz zniknął szybko porwany przez wlatujący w głąb pęd powietrza.

Po niejakiem czasie zauważyłem pewien związek między owymi studniami a wysokimi wieżami, które tu i ówdzie stały na pochyłościach wzgórz. Powietrze drgało nad nimi w ciągłym falowaniu, podobnie jak drga nad rozprężonym w słońcu przybrzeżnym piaskiem w upalny dzień. Zestawiając te dwie okoliczności wyprowadziłem poważny wniosek o rozległym systemie wentylacji podziemnej, której prawdziwego znaczenia wszakże trudno się było domyślić. Z początku gotów byłem widzieć w tym pewien związek z urządzeniami sanitarnymi tego ludu. Wniosek taki nasuwał się sam, był jednak najzupełniej mylny.

Muszę tu przyznać, że niewiele dowiedziałem się o kanałach, rurach podziemnych i środkach komunikacji, oraz innych udogodnieniach w ciągu mego pobytu w krainie przyszłości. W niektórych wizjach utopii, w widzeniach przyszłych czasów, które czytałem, jest sporo szczegółów o budowlach, instytucjach społecznych itp. Nietrudno o nie, gdy się ma świat cały w swojej wyobraźni; ale są one wręcz nieprzystępne dla rzeczywistego podróżnika pośród takiej rzeczywistości, jaką ja tutaj spotkałem. Wyobraźmy sobie opowieść o Londynie, jaką powiezie do swego plemienia Murzyn świeżo przybyły z Afryki Środkowej! Czego on się dowie o towarzystwach kolei żelaznych, o ruchach społecznych, o telefonach i telegrafach, o towarzystwach sprzedaży parcel na raty, o urządzeniu poczt itp., jeżeli nawet nie zabraknie nam dobrej woli do wytłumaczenia mu tego wszystkiego. A czyż z tego, co rzeczywiście poznał, dużo się nauczą odeń lub czy mu uwierzą jego przyjaciele i ziomkowie, którzy podróży z nim razem nie odbyli? Pomyślcie teraz, jak wąska jest granica oddzielająca Murzyna od białego w czasach obecnych i jak szeroka była przepaść pomiędzy mną a ludźmi Złotego Wieku!

Zdawałem sobie sprawę z istnienia wielu niewidzialnych urządzeń służących mej wygodzie, lecz poza ogólnym wrażeniem zautomatyzowanej organizacji, obawiam się, że

bardzo niewiele będę wam mógł o tym powiedzieć.

Na przykład — co do kwestii grzebania zmarłych — nie dostrzegłem zupełnie żadnego śladu krematoriów ani też czegoś podobnego do grobów. Wpadłem na myśl, że może cmentarze (lub krematoria) są gdzieś poza obrębem moich poszukiwań. Pytanie to zadawałem sobie z całą rozważą, a ciekawość moja w pierwszej chwili doznała zupełnej porażki. Sprawa ta wprawiła mnie w podziw i byłem zmuszony uczynić dalsze spostrzeżenie, które mnie zdziwiło jeszcze bardziej: mianowicie że wśród tego ludu nie było starców, kalek ani chorych.

Muszę przyznać, że niedługo się zadowalałem najpierwszą mą teorią o zautomatyzowanej cywilizacji i upadającej ludzkości; a jednak nie byłem zdolny myśleć inaczej. Pozwólcie mi tu wyłożyć napotkane trudności.

Kilka większych pałaców, które poznałem, było tylko mieszkaniem, wielkimi jadalniami i sypialniami. Ani warsztatów, ani urzędów jakiego bądź rodzaju nie dostrzegłem. A przecież ludzie ci ubierali się w ładne tkaniny, które co pewien czas musiały być sprawiane na nowo, sandały ich zaś, jakkolwiek pozbawione ozdób, były misternymi okazami wyrobów metalowych. Gdzieś te rzeczy musiały być przecież robione, a małe istoty nie objawiały cienia dążności wytwórczych; nie było ani sklepów, ani warsztatów, ani też urzędów, które by wskazywały na dowóz z zewnątrz. Cały czas spędzali ci ludzie na miłej zabawie, na kąpaniu się w rzece, na półswawolnych romansach, na spożywaniu owoców i — spaniu. Nie mogłem zgoła dopatrzeć się, jak dalece zajmowały ich sprawy ekonomiczne.

A teraz co się tyczy wehikułu czasu; został on przez nie wiadomo kogo umieszczony we wnętrzu białego sfinksa. Po co? Nie dojdę tego nawet za cenę życia. Poza tym te puste studnie... te dziwne kolumny... Czulem, że tracę wątek. Czulem... jak by to wyrazić?... Przypuście, że znaleźliście napis, w którym tu i ówdzie są zdania w wybornej angielszczyźnie, a wśród nich umieszczone inne, składające się z wyrazów, z liter nawet zupełnie wam nie znanych. Tak mi się tedy przedstawiał świat z roku 802 701, w trzecim dniu mego tam pobytu.

Tego dnia przypadkowo pozyskałem także osobliwego rodzaju przyjaciela. Zdarzyło się, iż przypatrywałem się małym istotom podczas kąpeli na mieliźnie, gdy jedna z nich dostała skurczów i prąd rzeki porwał ją i uniósł dalej. Prąd był szybki, lecz niezbyt silny, nawet dla średniej miary pływaka. Da wam to pojęcie o szczególnym niedołęstwie tych ludzi, gdy powiem wam, że nikt nie zrobił najmniejszego wysiłku dla ratowania drobnej istoty, która tonęła na ich oczach. Spostrzegłszy to, szybko zrzuciłem ubranie, przebiegłem w bród do pewnego punktu poniżej prądu, pochwyciłem biedną kruszynę i bezpiecznie wyniosłem ją na ląd. Rozcieranie ciała, które nawet nie trwało długo, szybko przywróciło jej przytomność i z zadowoleniem zobaczyłem, iż przyszła do siebie jeszcze przed moim odejściem. Miałem o nich wszystkich tak niepoehlebne wyobrażenie, że nawet wcale nie spodziewałem się wdzięczności. Pod tym względem wszakże omyliłem się.

Wypadek wydarzył się rano. Po południu, jak przypominam sobie, znowu spotkałem małą kobietkę, gdy wracałem z wyprawy rozpoznawczej do głównej swej kwatery. Powitała mnie okrzykami radości i obdarzyła dużą girlandą kwiatów — widocznie zrobioną dla mnie. Pobudziło to moją wyobraźnię. Być może czulem się w istocie bardzo osamotniony. Zrobiłem w każdym razie wszystko, co można, aby okazać, ile sobie cenię jej podarek. Niedługo potem siedzieliśmy razem na małej ławeczce kamiennej, zajęci rozmową składającą się głównie z uśmiechów. Wyrażała ona swą przyjaźń tak, jak uczucia swe może wyrażać dziecko. Dawaliśmy sobie wzajemnie kwiaty, a ona całowała mi ręce. Ja robiłem to samo z jej rękami. Następnie próbowałem rozmawiać i dowiedziałem się, że ma na imię „Weena”, imię, które wydało mi się dla niej stosowne, chociaż nie wiedziałem, co znaczy. Taki był początek dziwnej przyjaźni, która trwała tydzień, a jak się zakończyła — opowiem! Była zupełnie dziecinna. Wszędzie chciała być razem ze mną, wszędzie za mną chodzić; a gdy podczas pierwszej naszej wycieczki chciałem ją, zmęczoną chodzeniem, pozostawić na drodze, wówczas, wyczerpana, wołała za mną żałośnie. Należało jednakże raz już opanować zagadki tego nieznanego świata. Powiedziałem sobie, że nie po to dostałem się w przyszłość, aby prowadzić miniaturowy flirt.

Wielki był jednakże jej smutek, ilekroć ją porzucałem na drodze. Niekiedy nawet z rozpaczą wyrażała mi swój żal przy pożegnaniu, tak iż miałem tyleż niepokoję, co zado-

wolonia z jej przywiązania. Niemniej jednak była mi prawdziwie wielkim pokrzepieniem. Dopiero poniewczasie poznałem, jaką przykrość sprawiałem jej każdym rozstaniem. Dopiero wtedy pojąłem jasno, czym jest dla mnie, gdy już było za późno. Okazując mi bowiem na swój sposób troskę o mnie, mała laleczka sprawiała swym przywiązaniem to, że gdy wracałem w okolice białego sfinksa, doznawałem takiego uczucia, jakbym powracał do domu. Zaledwie zszedłem z pagórka, wyczekiwałem już jej drobnej postaci przyodzianej w biel i złoto.

Od niej także dowiedziałem się, że przestach nie porzucił jeszcze tego świata przyszłości. Była dość odważna we dnie i pokładała we mnie zadziwiającą ufność. Pewnego razu, gdy w chwili zniecierpliwienia zrobił groźną minę, ona roześmiała mi się w twarz. Obawiała się natomiast ciemności, mroku, rzeczy czarnych. Ciemność była dla niej jedynym źródłem strachu. Ów szczególnie silny lęk zniewolił mnie do rozmyślań i spostrzeżeń. Poznałem, między innymi, że mały ten lud po zmroku zbiera się w dużych domach i śpi gromadnie. Gdy wchodziło się tam bez światła, wtrącało się ich w zamęt i przerażenie. Po zmroku nigdy nie spotkałem nikogo; nikt nie chodził po dworze, nie spał przed domem. Zawsze jednak byłem tak nierozsądny, że zapominałem o tej lekcji strachu i upierałem się na przekór zgryzotom Weeny, aby spoczywać z dala od tego rozspanego tłumu. Martwiło ją to bardzo, lecz w końcu dziwne przywiązanie do mnie wzięło górę i w ciągu pięciu nocy naszej znajomości, wliczając w to ostatnią noc, spała oparłszy głowę na moim ramieniu.

Muszę jednak przerwać opowiadanie o niej, własne moje dzieje bowiem dopominają się już opowieści.

Obudziłem się o świcie niespokojny. Miałem bardzo przykre sny. Śniło mi się, że tonę i że anemony morskie chodzą mi po twarzy, obmacując miękkimi czułkami. Zerwałem się z dziwnym wrażeniem, że jakieś szarawe zwierzę wybiegło z pokoju. Próbowałem zasnąć na nowo, lecz czułem niepokój i udręczenie. Była to godzina brzasku, kiedy różne rzeczy wypelzają z mroku, kiedy wszystko jest bezbarwne i zarysowane ostro, a jednak nierzeczywiste. Wstałem i wstąpiłem w progi wielkiej sali, a następnie wyszedłem na kamienny taras przed pałacem. Przyszło mi myśl, żeby stać się cnotliwym z konieczności i zobaczyć wschód słońca.

Księżyc zachodził, a zamierające jego światło i pierwsza bladeść brzasku mieszały się w ponury półmrok. Krzewy były czarne jak atrament, łąka ciemnoszara, a niebo bezbarwne ismutne. I zdało mi się, że na pagórku widzę duchy. Po trzykroć, gdy się wpatrywałem w pochyłość pagórka, widziałem białe postacie. Dwukrotnie dostrzegłem pojedynczą białą istotę, podobną do małpy, jak szybko biegła na wierzchołek wzgórza, a raz koło siebie ujrzałem kilka ich w gromadzie, jak niosły ciemne jakieś ciało. Oddaliły się z pośpiechem. Nie wiedziałem, co się z nimi stało; prawdopodobnie znikły w krzakach. Pamiętajcie, że dopiero się rozwidniało. Ogarnął mnie dojmujący chłód — owo nieokreślone uczucie wczesnego poranka, które musicie znać dobrze. Oczom własnym nie wierzyłem.

Gdy niebo na wschodzie się rozjaśniło, gdy powróciło światło dnia i świat odzyskał na powrót żywe swe barwy, przyjrzałem się bacznie okolicy. Nie spostrzegłem ani śladu białych postaci. Były widać istotami półmroku.

„Jeśli to były duchy — rzekłem do siebie — to ciekaw jestem, z którego wieku pochodzą”. Przyszedł mi do głowy dziwny pomysł Granta Allena, który mnie rozbawił. Allen dowodził, że jeżeli każde pokolenie umierając zostawia po sobie swe duchy, to w końcu przepelnia one świat. Podług tej teorii przybyła ich nieskończona ilość od przeszło ośmiuset tysięcy lat, nic przeto dziwnego, że zobaczyłem je aż cztery naraz. Nie zadowolilem się jednak tym żartem i myślałem o tajemniczych postaciach całe rano, dopóki nadejście Weeny nie usunęło ich z mej myśli. Kojarzyły mi się one, nie wiedzieć czemu, z owym białym zwierzęciem, które spłoszyłem był podczas pierwszego gwałtownego poszukiwania wehikułu czasu. Weena była miłym darem otrzymanym w zamian za to, com utracił. Istotom owym przeznaczony było wkrótce straszliwiej zawładnąć moim umysłem.

Zdaje się, że już mówiłem, iż w Złotym Wieku było o wiele cieplej niż obecnie, ale nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego. Być może Słońce było gorętsze lub Ziemia krążyła bliżej Słońca. Mniema się powszechnie, że Słońce będzie stałe coraz bardziej wystygające. Ludzie nie obznajomieni z tego rodzaju teoriami, na przykład Darwin młodszy, zapo-

minają jednak, że planety muszą wreszcie jedna po drugiej spadać na macierzyste ciała niebieskie. Gdy się zdarzy taka katastrofa, Słońce zacznie świecić ze zdwojoną energią; możliwe więc, że któraś z planet wewnętrznych uległa już temu losowi przed moim przybyciem do świata przyszłości. W każdym razie Słońce było daleko gorętsze niż obecnie.

I oto podczas gorącego poranku — piątego dnia, jak sądzę — kiedy szukałem osłony przed żarem i upałem w ogromnych ruinach koło wielkiego domu, w którym jadałem i sypiałem, stała się rzecz straszna. Gdym się wdrapywał na spiętrzone rumowiska, spostrzegłem wąski korytarz, którego tylne i boczne okna były zasypane gruzem. W porównaniu z panującą na zewnątrz jasnością korytarz wydał mi się z początku niezwykle ciemny. Wszedłem ostrożnie, krok za krokiem, bo wskutek przejścia ze światła do ciemności przed oczyma migwały mi barwne plamy. Nagle stanąłem jak wryty. Para oczu lśniących od odbłasku światła dziennego gonila mnie w ciemnościach.

Uległem starej, instynktownej trwodze, jaką przejmują nas dzikie zwierzęta. Zacisnąłem pięści i patrzyłem prosto w iskrzące się ślepie. Bałem się obrócić. Następnie przyszła mi do głowy myśl o owym zupełnym bezpieczeństwie, w jakim zdawała się żyć ludzkość. Przypomniałem sobie wówczas dziwny lęk przed ciemnością, jaki lud ten odczuwał. Zaplanowawszy do pewnego stopnia nad strachem, postąpiłem krok naprzód i przemówiłem. Przypuszczam, że głos mój był twardy i niepewny. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem czegoś miękkiego. W tej chwili oczy moje zwróciły się w bok i znowu coś białego przebiegło obok. Obróciłem się z duszą na ramieniu i ujrzałem, jak dziwna, podobna do małpy postać z dziwacznie zwróconą na dół głową przebiegła za mną przez kawałek oświetlonej drogi. Potknęła się o złom granitu, zatoczyła i po chwili znikła w czarnym cieniu poza urwiskiem rozwalonego muru.

Wrażenie moje nie jest z pewnością dokładne. Wiem tylko, że była barwy brudno-białej, o dziwnych oczach, dużych, szarawoczerwonych; wiem również, że miała konoپیaste włosy na głowie i karku. Lecz, jak powiadam, znikła zbyt nagle, bym mógł się jej przyjrzeć. Nie zdołałem nawet powiedzieć, czy biegła na czworakach, czy też tylko ramiona opuściła bardzo nisko, cała podana ku przodowi. Podążyłem za nią do drugiego rumowiska. Z początku nie mogłem jej znaleźć, ale po pewnym czasie dotarłem w głębokiej ciemności do jednego z okrągłych otworów podobnych do studni, o których już wspominałem, zasłoniętego powaloną kolumną. Zaświtała mi nagle myśl, czy nie znikła w otchłani studni? Zaświeciłem zapalną i patrząc w dół ujrzałem małą białą postać z tymi samymi dużymi, jasnymi oczami, które patrzyły na mnie bez przerwy podczas owego odwrotu. Dreszcz mną wstrząsnął. Było to stworzenie podobne do pająka o ludzkich kształtach! Czepiając się ścian schodziło w dół studni. Teraz dopiero po raz pierwszy ujrzałem długi szereg metalowych szczebli i rąbek, które tworzyły coś w rodzaju schodków prowadzących na dół. Zapalka poparzyła mi palce i wypadła z rąk, a gdym zapalił drugą, małego potworka już nie było.

Nie wiem, jak długo siedziałem patrząc w głąb studni. Dopiero po upływie pewnego czasu zdołałem dojść do przekonania, że istota, którą widziałem, była ludzką istotą. I tak stopniowo objawiła mi się prawda, że człowiek nie pozostał gatunkiem jednolitym, lecz zróżnicował się na dwa odmienne typy zwierzęce; że piękne dzieci ziemskiego świata nie były jedynymi potomkami naszego pokolenia, lecz że te wybladłe, wstrętne stwory mroku, które uciekały przede mną, miały również prawo do dziedzictwa wieków.

Myślałem o zagadkowych kolumnach i mojej teorii wentylacji podziemnej. Zaczynałem już rozumieć, do czego właściwie służą, i zapytywałem sam siebie: czym mogą być te lemury w moim schemacie doskonale zrównoważonej organizacji? W jakim stosunku pozostają do leniwej błogości pięknych ludzi na ziemi? Co się ukrywa tam w dole, na dnie tego szybu? Siedziałem na brzegu studni i mówiłem sobie, że bądź co bądź, nie mam się czego lękać i muszę zejść na dół dla rozwiązania zagadki. Jednocześnie bardzo się tego bałem.

Gdym się tak wahał, dwoje pięknych istot przebiegło ze słonecznego świata w cień. Mężczyzna ścigał kobietę w igrasce miłosnej i ciskał w nią kwiatami podczas gonitwy. Widząc mnie opartego o wywróconą kolumnę i wpatrującego się w głąb studni okazali przykre zakłopotanie. Widocznie źle widziane było przez nich, gdy ktoś zwracał uwagę na te głębiny, bo kiedy wskazałem na studnię i chciałem w ich języku zapytać, co by znaczyła, zmieszali się jeszcze bardziej i odwrócili ode mnie. Zająę ich natomiast moje zapalki;

zapaliłem jeszcze kilka, jedynie po to tylko, aby ich ubawić. Znowu zagadnąłem o studnię i znowu nie udało mi się otrzymać odpowiedzi. Pozostawiłem ich samych sobie, aby powrócić do Weeny i zobaczyć, czy się od niej czego nie dowiem. Różne myśli cisnęły mi się do głowy; domysły i spostrzeżenia układały się i prowadziły do nowych teorii. Miałem już teraz klucz do poznania funkcji tych studzien i wież wentylacyjnych, do zbadania tajemnicy duchów, pomijając już wskazówkę co do znaczenia drzwi brązowych i losów wehikułu czasu! W mglistych zarysach nasuwał mi się już pomysł rozwiązania zagadki ekonomicznej, która mnie tak żywo zajmowała.

Wyjaśniła się oto zagadka. Oczywiście było, że drugi rodzaj ludzki jest mieszkańcem podziemi. Trzy szczególnie okoliczności zmuszały mnie do mniemania, że rzadkie ukazywanie się tego gatunku na powierzchni było następstwem długotrwałego życia pod ziemią: po pierwsze, błądność właściwa stworzeniom żyjącym głównie pod ziemią — jak na przykład białe ryby w grotach Kentucky; następnie oczy duże, obdarzone zdolnością odbijania światła, a będące wspólnym znamieniem stworzeń nocnych — czego dowodem sowa i kot. Wreszcie ten rzucający się w oczy niepokój na widok światła słonecznego, to pośpieszne i ociężałe chronienie się w cień, osobliwe trzymanie głowy na świetle — wszystko to potwierdzało teorię o niezmierniej wrażliwości siatkówki oka.

Ziemia pod moimi stopami musiała być zapewne podziurawiona niezliczonymi tunelami będącymi siedliskiem nowej rasy ludzkiej; obecność zaś szybów wentylacyjnych i studzien wzdłuż pochyłości wzgórz, wszędzie z wyjątkiem doliny rzecznej, wskazywała, jak powszechne są ich rozgałęzienia. Cóż naturalniejszego nad przypuszczenie, że prace niezbędne dla dogodnego życia rasy podslonecznej są wykonywane w tym sztucznym świetle podziemnym? Przypuszczenie to wydało mi się tak nęcące, że przyjąłem je od razu i zacząłem się zastanawiać, dlaczego rodzaj ludzki rozszczępił się na dwie części. Sądzę, że już chwytacie zarys tej teorii, jakkolwiek ja sam wkrótce przekonałem się, jak daleka jest ona od prawdy.

Patrząc na to z punktu widzenia problemów naszego wieku uznałem za całkiem jasne, że obecne stopniowe, lecz ograniczone jednak czasem zwiększanie się społecznej różnicy pomiędzy kapitalistą a robotnikiem jest kluczem do całego systemu. Zapewne wyda się to wam śmieszne, szalone i zupełnie nie do wiary, że istnieją już teraz pewne dowody na to, iż myśl ludzka dąży obecnie w tym kierunku. Już dzisiaj spostrzegamy tendencję do spożytkowania przestrzeni podziemnych dla mniej estetycznych celów cywilizacji. Istnieje na przykład w Londynie kolej podziemna, powstają nowe jej rozgałęzienia, tunele, podziemne pracownie i restauracje, a wszystko to mnoży się i rośnie. Dążność powyższa, jak sądzę, wzrastała ustawicznie, aż wreszcie przemysł stracił stopniowo przyrodzone prawo do światła dziennego. Sądzę więc, że schodzono coraz głębiej i głębiej, tworzone coraz większe i większe fabryki i spędzano w nich coraz więcej czasu, aż w końcu... A czyż dzisiaj robotnik z East Endu nie żyje już w tak sztucznych warunkach, że odcięty jest faktycznie od naturalnej powierzchni ziemi?

Nieustanny pęd bogaczy do wykwinu, przy stale się pogłębiającej różnicy między nimi a rzeszą nieokrzyszanych biedaków, sprawia, że bogacze dążą nieustannie do zagarnięcia we własnym interesie znacznych obszarów na terenie kraju. Wokół Londynu na przykład prawie połowa ładniejszych okolic jest już niedostępna.

I właśnie owa stale pogłębiająca się przepaść, powstała na skutek stale się powiększającego wykwinu życia bogaczy i poziomu ich wykształcenia, udaremniać będzie coraz bardziej przenikanie ludzi z jednej warstwy do drugiej, uniemożliwiać awans społeczny przez zawarcie małżeńskich związków, co opóźnia jeszcze w chwili obecnej proces rozdziału społeczności na dwie odrębne warstwy. W końcu na powierzchni ziemi pozostaną posiadacze, których celem życia będzie przyjemność, wygoda i piękno, a pod powierzchnią ziemi pracujący lud, przy czym ludzie pracujący będą się przystosowywali coraz bardziej do warunków pracy. A gdy już raz to uczynią, bez wątpienia będą potem musieli płacić czynsz, głównie za samą tylko wentylację swych jaskiń. Jeżeli zaś odmówią, zostaną zagłodzeni i uduszeni w podziemiach. Ci spośród nich, których sama natura urobi na nieszczęśliwych i buntujących się, wymrą, aż w końcu zapanuje równowaga: ci, co przetrwają, będą już tak dobrze przystosowani do warunków życia pod ziemią i tak szczęśliwi w swoim położeniu, jak lud na powierzchni ziemi w swoim. Podług mego zdania, zarówno wykwinną piękność, jak i chorobliwą błądność przyniósł wyłącznie naturalny rozwój

stosunków.

Wielki triumf ludzkości, o którym marzyłem, w odmiennym mi się już teraz przedstawiał światło. Takiego rozkwitu wychowania moralnego i współdziałania powszechnego, jaki sobie wyobrażałem, nigdy nie było. Zamiast tego dostrzegłem prawdziwą arystokrację uzbrojoną w udoskonaloną wiedzę i rozwijającą logicznie dalej system przemysłowy doby obecnej. W jej triumfie było nie samo tylko proste opanowanie przyrody, lecz opanowanie zarazem przyrodą i bliźnim. Taka w owym czasie była, uprzedzam, moja teoria. Nie miałem bowiem odpowiedniego przewodnika po idealnych obrazach ksiąg utopijnych.

Przypuszczenie może być zupełnie mylne, utrzymuję jednak, iż jest najbardziej prawdopodobne. Lecz nawet i w tym przypuszczeniu cywilizacja zrównoważona, którą w końcu osiągnięto, dawno już musiała minąć swój zenit i obecnie nieuchronnie chyliła się ku upadkowi. Zbyt doskonale bezpieczeństwo Podślonecznych zawiodło ich na powolną drogę degeneracji, doprowadziło ich do ogólnego skarlłowacenia pod względem wzrostu, siły i inteligencji. Teraz widziałem to już dostatecznie jasno. Nie wiedziałem jeszcze, jaki los spotkał Podziemnych, lecz z wyglądu Morloków — taką, nawiasem mówiąc, mieli oni osobliwą nazwę — których spotkałem, wnieść mogłem, że jako ludzie głębszej jeszcze ulegli przemianie niż Eloje, owa piękna rasa, którą naprzód poznałem.

Ogarnęły mnie później niepokojące wątpliwości. Po co Morlokwie zabrali moją maszynę? Miałem bowiem już pewność, że to oni ją wzięli. Dlaczego zresztą Eloje, jeżeli to oni byli panami, nie mogą mi jej zwrócić? I dlaczego tak straszliwie obawiają się ciemności?

Wróciwszy, zacząłem wypytywać Weenę o ten świat podziemny; lecz tu znowu spotkało mnie rozczarowanie. Z początku nie rozumiała moich pytań, później stanowczo odmówiła odpowiedzi. Drżała tak, jak gdyby temat ten był dla niej nie do zniesienia, gdy zaś wywarłem na nią presję, może cokolwiek zbyt brutalnie, rozpląkała się. Były to jedyne lzy, prócz mych własnych, jakie widziałem w tym Złotym Wieku. Na ich widok przestałem od razu zdręzczać się Morlokami i starałem się już tylko spędzić owe dowody dziedziczności ludzkiej z oczu miłego stworzenia. Wkrótce potem uśmiechała się już i klaskała w ręce, gdy uroczyście zapalałem zapałkę.

ROZDZIAŁ VI

Może się to wam wyda dziwne, lecz dopiero po upływie dwu dni mogłem pójść po nowo znalezionej nici przewodniej w kierunku jedynie właściwej drogi. Czulem szczególną odrazę do tych białych ciał, które istotnie miały półśpłowiałą barwę robaków tudzież innych rzeczy przechowywanych w spirytusie w muzeum zoologicznym i były odrażająco zimne w dotknięciu. Na odrzucie mej zaciążył, być może, w znacznym stopniu wpływ uroczych Elojów, których wstręt do Morloków zaczynałem już teraz rozumieć.

Następnej nocy źle spałem. Prawdopodobnie zdrowie moje było cokolwiek nadwężone. Ogarnęły mnie troska i zwątpienie. Raz czy dwa uczułem silny strach, bez dostatecznego powodu. Pamiętam, że po cichu wsunąłem się do wielkiej sali, gdzie w świetle księżycy spali mali ludzie — tej nocy Weena była razem z nimi — i czułem się uspokojony ich obecnością. W ciągu kilku ostatnich dni księżyc przebył właśnie ostatnią kwadrę, noce były coraz ciemniejsze i zaraz też owe brzydkie twory podziemi, te białe lemury, to nowe robactwo ukazywało się tłumnie. Przez owe dni czułem się jak ktoś, kto usiłuje wymknąć się nieuniknionemu obowiązkowi. Czulem, że wehikuł czasu odzyskać można tylko przez odważne wkroczenie do tych tajemniczych podziemi; a jednak tajemnicom tym nie śmiałem zajrzeć w oczy! Byłoby inaczej, gdybym miał towarzysza. Czulem się bowiem tak straszliwie osamotniony, iż przestraszało mnie nawet zejście na dół, w ciemności studni. Nie opuszczała mnie, zechciejcie to zrozumieć, świadomość nieustannie grożącego mi niebezpieczeństwa.

Lecz właśnie ów niepokój i niepewność pchały mnie coraz dalej w moich poszukiwaniach. Idąc na południowy zachód ku wsi, którą teraz nazywają Combe Wood, zauważyłem w oddali, w kierunku dziesiętnastowiecznego Banstead, duży zielony budynek różniący się znacznie od wszystkich dotąd widzianych. Był on największy z oglądanych przeze mnie pałaców lub ruin; fasadę miał w stylu wschodnim, a połyskliwa jego, bladezielona powierzchnia miała zielononiebieski odcień, właściwy pewnemu gatunkowi

chińskiej porcelany. Owa odmienność w wyglądzie zewnętrznym budynku nasunęła mi myśl o odmiennym charakterze jego użyteczności; postanowiłem dotrzeć doń i zbadać. Ale że dzień chylił się już ku końcowi, a do celu doszedłbym dopiero po długiej i męczącej wędrówce, odłożyłem wyprawę na dzień następny i powróciłem do radosnych powitań i pieszczot małej Weeny. Nazajutrz wiedziałem już, że moja ciekawość poznania pałacu była tylko próbą oszukania samego siebie, próbą uniknięcia wyprawy, której się lękałem. Wreszcie powiedziałem sobie, że zejść w podziemia bez dalszego już odkładania na później, i wczesnym rankiem udałem się do studni w pobliżu granitowych ruin.

Mała Weena biegła ze mną. Płasała przy mym boku aż do studni, lecz gdy ujrzała, że nachyliłem się nad zrębem i spoglądałem w dół, okazała dziwny niepokój.

— Do widzenia, mała Weeno — powiedziałem całując ją i stanąwszy przy samej studni zacząłem macać po ścianie, szukając szczebli do schodzenia. Muszę przyznać, że robiłem to śpiesznie, w obawie, aby mnie nie opuściła odwaga!

Weena z początku patrzyła zdziwiona. Potem krzyknęła żałośnie, rzuciła się ku mnie i zaczęła swymi drobnymi rączkami ciągnąć mnie w górę. Sądzę, że jej opór raczej pobudzał mnie do wytrwania w postanowieniu. Odepchnąłem ją, może zbyt brutalnie, i po chwili byłem już w gardzieli studni. Ujrzałem jej twarz wyrażającą śmiertelne przerażenie i uśmiechnąłem się, aby jej dodać otuchy, po czym spojrzałem w dół na wątle szczeble, po których miałem zejść...

Aby dostać się w głąb studni, musiałem przebyć około dwustu jardów. Schodziłem po prętach metalowych, osadzonych w ścianach studni, a ponieważ były one obliczone na ciężar istot mniejszych i lżejszych niż ja, szybko więc zdrętwiałem cały i zmęczyłem się schodzeniem. I nie tylko się zmęczyłem! Jeden z prętów nagle zgiął się pod moim ciężarem i zawisłem nad ciemną otchłanią. Przez chwilę wisiałem na jednej ręce. Przygoda ta odebrała mi zupełnie chęć spoczynku. Jakkolwiek czułem silny ból w rękach i krzyżu, spuszczałem się na dół bez chwili przerwy, chwytając się wciąż haków jak najszybszymi ruchami. Spoglądając ku górze widziałem otwór studni — niewielki błękitny krążek — a w nim jedną samotną gwiazdkę. Głowa Weeny zaznaczała się okrągłym ciemnym punktem. Stuk i łoskot maszyny stał się w dole głośniejszy i coraz bardziej ogłuszał. Wszystko prócz małego krążka w górze tonęło w czarnych ciemnościach, a gdym spojrzał w górę, Weeny już nie było.

Uczulem przynębiający smutek. Pomyślałem, czyby nie rzucić tego podziemnego świata i nie powrócić na górę. Ale nawet kiedy tak myślał, nie przestawałem schodzić na dół. Wreszcie, z wyraźnym zadowoleniem, ujrzałem w ciemnościach po prawej ręce, w odległości stopy, niewielki otwór w ścianie. Gdym weń wpełznął, poznałem, że jest to otwór wąskiego poziomego tunelu, w którym mógłbym się położyć i odpocząć. Czas już było o tym pomyśleć. Bolały mnie ręce, czułem kurcz w krzyżu i drżałem wskutek długotrwałej obawy przed upadkiem. Oprócz tego nieprzeniknione ciemności przykro oddziaływały na mój wzrok... Wciąż słychać było łoskot maszyny pompującej powietrze.

Nie wiem, jak długo leżałem. Obudziła mnie ręka łagodnie głaszcząca po twarzy. Zrywając się w ciemnościach schwyciłem zapalki i, zapaliwszy jedną z nich pośpiesznie, ujrzałem trzy białe istoty pochylające się nade mną, a podobne do tej, jaką widziałem był na ziemi koło ruin. Wszystkie uskoczyły szybko przed światłem. Ponieważ prawdopodobnie żyły zawsze w nieprzejrzanym mroku, czy ich miały nienormalną wielkość i wrażliwość tak jak żrenice ryb głębinowych i w taki sam sposób odbijały światło. Nie wątpię, że widziały mnie w tej bezbrzeżnej ciemności i, jak sądzę, nie mnie bynajmniej lękały się, lecz światła. Skoro potarłem zapalkę, aby im się przyjrzeć, uciekły natychmiast w ciemne kanały i tunele, z których oczy ich błyskały dziwacznie ku mnie.

Chciałem zawołać na uciekających, lecz język ich był widocznie różny od języka ludu z powierzchni ziemi, tak iż pozostawiony samemu sobie jeszcze raz pomyślałem, że najlepiej będzie — dać spokój wszystkiemu. Powiedziałem sobie jednak po chwili: „Musisz teraz zbadać to wszystko”, i poszedłem wzdłuż tunelu w stronę, skąd dochodził rosnący wciąż odgłos maszyny. Tym razem ściany jakby się rozstały przede mną i znalazłem się na dużej otwartej przestrzeni. Zapaliwszy zapalkę dostrzegłem, iż znajduję się w sklepionej grocie, której głąb nurzała się w ciemnościach. Widok, jaki mogłem ogarnąć wzrokiem, sięgał tak daleko, jak daleko rozpraszało mrok światło z płomienia zapalki.

Wspomnienia moje będą z konieczności bardzo mgliste. Pamiętam jednak, że z ciemności tej wyrastały olbrzymie kształty, podobne do wielkich machin, i rzucały dziwne czarne cienie, w których ukrywali się przed światłem podobni do duchów Morlokwie. Ciężkie powietrze przepelniał mdły zapach świeżej krwi. W głębi stał niewielki stół z białego metalu, a na nim leżało coś podobnego do mięsa. Morlokwie byli mięsożer- ni! Pamiętam, że nawet w tamtej chwili zastanawiałem się, które to z wielkich zwierząt mogło jeszcze dochować się do owych czasów i dostarczyć krwawej masy, na którą patrzy- łem? Wszystko kłębiło się w mym umyśle: ciężki zapach, olbrzymie, niejasne kształty, wstrętne postacie przyczajone w cieniu i czekające na zapadnięcie ciemności, aby na nowo dobrać się do mnie.

W tej chwili zapalka się dopaliła parząc mi palce i upadła znacząc się czerwoną plamką w ciemności.

Pomyślałem teraz, jak źle zaopatrzyłem się na podobną wyprawę. Gdy puszczałem się w podróż na wehikule czasu, jechałem w tym nierozsądnym przekonaniu, że ludzie przyszłości będą bez wątpienia stali nieskończenie wyżej od nas pod każdym względem. Pojechałem bez broni, bez lekarstw, bez papierosów — do których chwilami tęskniłem straszliwie — nawet bez zapalek. Gdybym przynajmniej pomyślał o aparacie fotograficz- nym! Podczas tej wycieczki mógłbym sobie w jednej sekundzie zaświecić, zdjęć obraz świata podziemnego i potem już przyglądać mu się do woli. Niestety — nic już nie mogłem zmienić i stałem tam jedynie z taką bronią i taką siłą, jakimi obdarzyła mnie przyroda: rękoma, nogami i zębami. Do tego miałem jeszcze cztery zapalki: oto wszyst- ko, co mi zostało, lękałem się jednak chodzić po ciemku wśród tych wszystkich machin. A kiedy ostatnio zapalał zapalkę, przekonałem się też, że zapas mój jest na wyczerpaniu. Nie przyszło mi na myśl aż do tej chwili, że trzeba oszczędzać światło, i zmarnowałem prawie pół pudełka dla wprowadzenia w podziw owych Podślonecznych, dla których ogień był nowością. Teraz, jak mówię, zostały mi tylko cztery zapalki.

Gdy tak stałem w ciemnościach, jakaś ręka dotknęła mojej, chude palce zaczęły prze- suwać się po mojej twarzy i poczułem nadzwyczaj nieprzyjemną woń. Zdawało mi się, że słyszę dookoła oddech całego tłumu tych strasznych istot. Czulem, jak jedni delikat- nie usiłują wyciągnąć mi z rąk pudełko, jak inni znowu z tyłu szperają w odzieży. Dok- tknięcia niewidzialnych stworzeń, usiłujących rozpoznać tajemniczą istotę, sprawiały mi niezmierną przykrość. Nagle w ciemności zdałem sobie sprawę, że nie znam wcale spo- sobu ich myślenia i działania. Krzyknąłem więc, jak tylko mogłem najsilniej. Odskokczyli, ale wkrótce spostrzegłem, że znowu się zbliżają. Teraz już przystąpili śmielej, dziwacznie coś szepcząc do siebie. Otrząsnąłem się gwałtownie, krzyknąłem ochryplym już głosem. Tym razem nie bardzo się nastraszyli, a gdy zbliżali się do mnie znowu, usłyszałem dziwne ich chichoty. Przyznam się, że ogarnęła mnie straszliwa trwoga. Postanowiłem zaświecić zapalkę i wymknąć się pod osłoną jej blasku. Tak też uczyniłem, a przedłużając blask pło- mienia przez zapalenie kawałka papieru wyjętego z kieszeni dostałem się szczęśliwie do wąskiego tunelu. Zaledwie się tam wcisnąłem, światło zgasło. W ciemnościach słyszałem szmer ścigających mnie Morloków, jakby szum liści na wietrze; słyszałem ich dreptanie, jakby odgłos padającego deszczu.

W jednej chwili pochwyciło mnie mnóstwo rąk; nie uległo wątpliwości, że chcieli mnie wciągnąć na powrót. Znowu zaświeciłem zapalkę i migąłem nią przed ich oślepio- nymi oczami. Nie wystawicie sobie, jak odrażająco i nieludzko wyglądali: blade twarze bez podbródków, wielkie, bez powiek, czerwonoszare oczy. Oślepli i dziczali wpatrywali się we mnie. Nie po to jednak zatrzymałem się, aby im się przyglądać. Cofnąłem się więc znowu, a gdy mi zgasła druga zapalka, zapaliłem trzecią. Płonęła przez cały czas, póki nie dotarłem do otworu studni. Położyłem się na brzegu, bo od ogłuszającego łoskotu wiel- kiej pompy na dole dostałem zawrotu głowy. Następnie po omacku poszukałem wysta- jących haków, gdy tymczasem niewidzialne ręce pochwyciły mnie za nogi... i gwałtownie pociągnęły w tył. Zapaliłem ostatnią zapalkę: i ta prędko zgasła. Lecz teraz już trzyma- łem się mocno szczebla osadzonego w ścianie; gwałtownym kopnięciem uwolniłem się ze straszliwych szponów i zacząłem szybko wspinać się do góry. Stali patrząc i mrugając — wszyscy z wyjątkiem jednego łotra, który ścigał mnie przez czas jakiś i najbezzelniej w świetle ściągnął mi but jako łup wojenny.

Wydawało mi się, gdym się wspinał, że szczeble ciągną się w nieskończoność. Na ostatnim dwudziestym czy trzydziestym szczeblu dostałem straszliwych mdłości. Z największym już tylko trudem mogłem się być utrzymać. Kilka jardów nieludzko walczyłem z omdleniem, kilka razy zakręciło mi się w głowie, ogarniało mnie przemożne wrażenie, że spadam. W końcu jednak wydobyłem się jakoś z czeluści studni i wywlokłem poza obręb zwalisk na oślepiające słońce.¹ Upadłem na twarz. Nawet ziemia miała zapach przyjemny i czysty. Potem... zapamiętałem Weenę całującą mi ręce i głosy stojących nade mną Elojów. Czas jakiś byłem nieprzytomny.

ROZDZIAŁ VII

Znalazłem się obecnie w gorszym położeniu niż poprzednio. Dotychczas, z wyjątkiem udręki, jaką odczuwałem nocami z powodu straty wehikułu, podtrzymywała mnie stale nadzieja opuszczenia w końcu tego świata przyszłości; lecz wskutek nowych odkryć ta właśnie nadzieja zaczęła mnie opuszczać. Dotychczas sądziłem, że w odzyskaniu wehikułu przeszkadza mi jedynie dziecinna prostota małego ludu, jakieś siły nieznanne, które wystarczy tylko poznać, aby nad nimi zapanować. Ale teraz już wiedziałem, że zwyrodniali Morlokwie są poza tym okrutni i złośliwi. Nienawidziłem ich instynktownie. Przedtem czułem się jak człowiek, który wpadł w dół; myślałem o dole i o tym, jak by się z niego wydostać; teraz czułem się jak zwierzę w sidłach, po którego wkrótce przyjdzie nieprzyjaciel.

Zadziwi was, jakiego to nieprzyjaciela się obawiałem: ciemności na nowiu. Przyczyniła się do tego Weena swoimi niezrozumiałymi z początku uwagami o ciemnych nocach. Nie było już teraz trudno domyślić się, jakie to miało znaczenie. Księżyc był wtedy w ostatniej kwadrze i ciemność wzrastała z każdą nocą. Teraz zrozumiałem, przynajmniej do pewnego stopnia, dlaczego mały lud tak się lękał ciemności. Snułem mgliste przypuszczenia, jakich to niecnych zbrodni dopuszczać się muszą Morlokwie na nowiu. Teraz już byłem prawie pewny, że moja druga hipoteza jest mylna. Lud na powierzchni ziemi mógł być niegdyś uprzywilejowaną arystokracją, a Morlokwie jej sługami spełniającymi mechaniczne czynności, ale było to dawno temu. Dwa gatunki, które rasa ludzka stworzyła w swym rozwoju, staczały się wciąż niżej, aż każdy z nich znalazł się w końcu w zupełnie odmiennych warunkach. Eloje jak Karlowingowie zwyrodniali w piękne, ale czerne marnoty. Zawsze przecież jeszcze władali na powierzchni ziemi, gdy tymczasem Morlokwie, lud od wielu pokoleń żyjący pod ziemią, doszli w końcu do tego, że nie mogą już żyć na powierzchni ziemi. Przypuszczałem, że robią odzież dla tamtych i zaspokajają inne potrzeby ich życia — prawdopodobnie na zasadzie odwiecznego nawyku służenia. Czynią to tak jak koń, który nawet gdy stoi, bije kopytem, lub jak człowiek, który się bawi zabijaniem zwierząt dla sportu, ponieważ konieczność, niegdyś rzeczywista, dziś już nie istniejąca, zakorzeniła się głęboko w jego naturze. Było więc jasne, że stary porządek rzeczy odwrócił się. Ku zniewiesciałym Elojom szybko zbliżała się zaczajona Nemezis. Przed wiekami, przed tysiącami pokoleń pozbawiono bliźniego spokoju i słonecznego światła, a teraz bliźni ten powracał, ale jakże zmieniony! I oto z kolei Eloje zaczęły uczyć się starej lekcji; poznali na nowo — strach.

Przypomniało mi się nagle mięso, które widziałem w podziemnym świecie. W dziwny sposób pojawił się ów obraz przede mną: nie nadpłynął w potoku myśli, lecz wcisnął się z zewnątrz, jak czyjeś pytanie. Usiłowałem uprzytomnić sobie coś mgliście mi znajomego, lecz nie byłem w stanie określić, co to wówczas było.

Mały lud był bezbronny wobec grozy strachu, natomiast ja inaczej nań reagowałem. Przybyłem tu z naszej epoki, w której ród ludzki wkroczył w dojrzałość, kiedy strach już nie paraliżuje sił, a tajemnica straciła swą grozę. Mogłem być w końcu pomyśleć o obrońce. Postanowiłem bezzwłocznie zrobić sobie broń i zbudować fortecę, gdzie mógłbym spać. Gdy urządzę schronienie, będę mógł spojrzeć na ten dziwny świat z otuchą, którą utraciłem dowiedziawszy się, na jakie niebezpieczeństwo byłem wystawiony co noc.

¹ogarniało mnie przemożne wrażenie, że spadam. W końcu jednak wydobyłem — fragment uzupełniony przez redakcję WL na podstawie tekstu angielskiego; w wydaniu polskim w tym miejscu brakuje jednego wersu druku. Zdania te w oryginale brzmiały następująco: *Several times my head swam, and I felt all the sensations of falling. At last, however, I got over the well-mouth somehow, and staggered out of the ruin into the blinding sunlight.* [przypis edytorski]

Czułem, że nie będę mógł zasnąć, dopóki snu swego nie zabezpieczę przed Morlokami. Drżałem z odrazy na myśl, że już nieraz, gdy spałem, musieli się we mnie wpatrywać.

Po południu wędrowałem po dolinie Tamizy, lecz nie dostrzegłem nic takiego, co by mi się wydało zabezpieczające od napaści. Wszystkie budynki i drzewa były łatwo dostępne dla Morloków, wprawnie — o ile sądzić mogłem z urządzenia ich szybów — wspinających się w górę. Wówczas przyszły mi na myśl wysokie szczyty Pałacu z Zielonej Porcelany i blask wypolerowanych jego ścian. Wziąwszy zatem wieczorem Weenę na rękę jak dziecko, udałem się ku wzgórzom w kierunku południowo-zachodnim. Podług mego obliczenia odległość wynosiła siedem lub osiem mil, lecz rzeczywiście było około osiemnastu. Po raz pierwszy widziałem był tę miejscowość w czasie dżdżystego popołudnia, gdy odległości zwodniczo się zmniejszają. Na dobitkę odpadł mi obcas od jedyne go buta i gwóźdź tak wbił mi się w podeszwę (wyruszyłem bowiem w podróż w wygodnych starych butach, które nosiłem po domu), iż kulałem. Było już po zachodzie słońca, gdy ujrzałem sylwetkę pałacu na bladej żółtym niebie.

Weena była bardzo zadowolona, gdy ją zacząłem nieść, lecz po pewnym czasie zażądała, abym ją puścił na ziemię, i odtąd już biegła obok mnie, często zbaczając z drogi, aby zrywać kwiaty, którymi napychała mi kieszenie. Moje kieszenie zawsze ją intrygowały, lecz w końcu doszła do przekonania, że są to osobliwszego rodzaju wazon-y do kwiatów: taki przynajmniej czyniła z nich użytek. Ach, przypomniałem sobie! Zmieniając żakiet znalazłem...

Tu Podróżnik w Czasie umilkł, sięgnął ręką do kieszeni i położył na stoliku dwa zwie-dle kwiaty, podobne do bardzo dużych białych malw. Następnie ciągnął dalej opowieść:

— Gdy ziemię zaległa wieczorna cisza i gdyśmy doszli szczytem pagórków do dzisiejszego Wimbledonu, Weena zmęczyła się i chciała powrócić do domu z szarego kamienia. Lecz ja wskazałem na odległe szczyty Pałacu z Zielonej Porcelany i starałem się jej dać do zrozumienia, że tam znajdziemy właśnie ucieczkę przed strachem, który ją dręczył.

Znacie tę wielką ciszę, jaka spada na wszystko przed zmrokiem? Nawet wiatr cichnie wtedy w drzewach. Wówczas doznaję zawsze uczucia, jak gdybym czegoś wyczekiwał. Niebo było jasne, wspaniałe, bez obłoków, z wyjątkiem kilku poziomych smug nisko na zachodzie. Tej nocy moje wyczekiwanie przyjęło barwę moich obaw. W ciemniejszej ciszy zmysły moje były jakby ponad miarę wyostrzone. Zdawało mi się, że wyczuwam próżnię w gruncie pod swymi stopami, że widzę Morloków, ich mrówczą krzątanie i wyczekiwanie ciemności. W podnieceniu swym wyobrażałem sobie wówczas, że najście moje będą uważali za wypowiedzenie wojny. Po co więc porwali mój wehikuł czasu?

Tak szliśmy w milczeniu. Zmrok przeszedł powoli w noc.

Zbladł jasny błękit na dalekim horyzoncie, gwiazdy zaczęły się ukazywać jedna po drugiej. Ziemię otulił mrok, w którym zaledwie majaczyły czarne sylwetki drzew. Weena uległa trwodze i zmęczeniu. Wziąłem ją w objęcia, przemawiałem i pieściłem. Gdy ciemności się wzmogły, objęła moją szyję i przymknąwszy oczy przycisnęła silnie twarz do mojego ramienia. Tak zesliśmy po pochyłości w dolinę i dotarliśmy do małej rzeczki. Przebyłem ją w bród i znalazłem się po drugiej stronie doliny. Minąłem wiele domów do spania, minąłem posąg, który mógł przedstawiać fauna bez głowy — lub coś podobnego. Rosły tu nadto wysokie akacje. Nie widziałem Morloków, lecz noc była jeszcze dosyć wczesna i nadchodziła dopiero godzina ciemności poprzedzająca wschód księżycy w ostatniej kwadrze.

Z wierzchołka najwyższego pagórka ujrzałem gęsty las rozciągający się szeroko; czerniał teraz przede mną. Zawahałem się. Na prawo, na lewo nie widziałem końca. Czułem się zmęczony; szczególnie bolały mnie nogi. Delikatnie zsunąłem Weenę z ramion i usiadłem na trawie. Straciłem z oczu Pałac z Zielonej Porcelany i wahałem się, w którym mam iść kierunku. Patrząc w gęstwinę lasu myślałem, co też w nim się może ukrywać... Poprzez gęste sploty gałęzi nie przenikał blask gwiazd. Gdyby nawet nie było innych niebezpieczeństw — nie pozwalałem bowiem swej wyobraźni zatrzymać się nad niebezpieczeństwami — były przecież korzenie, o które można się potknąć, były pnie drzew, o które można się uderzyć, a na domiar bardzo byłem zmęczony wzruszeniami tego dnia; postanowiłem więc nie narażać się na niebezpieczeństwa i spędzić noc na otwartym wzgó-rzu.

Z zadowoleniem patrzałem na uśpioną Weenę. Okryłem ją starannie żakietem i usiadłem obok niej oczekując wschodu księżyca. Na zboczu było spokojnie i pusto, lecz z mroków leśnych dolatywał chwilami szmer żywych istot. Nade mną świeciły gwiazdy, noc była bardzo pogodna. W ich migotaniu dostrzegłem jakby przyjazne współczucie. Wszystkie stare konstelacje pozniwały już były z nieba; powolny ruch, nie dający się dostrzec w ciągu jednej setki pokoleń ludzkich, od dawna już poukładał je w nieznane mi zupełnie obce grupy. Lecz Droga Mleczna była, jak mi się zdawało, ciągle jeszcze takim samym spienionym strumieniem rozpalonych gwiazd jak niegdyś. W południowej, jak przypuszczałem, stronie nieba jaśniała bardzo silnie jakaś nieznana mi czerwona gwiazda; była nawet świetniejsza od naszego zielonego Syriusza. Wśród tych iskrzących się punktów światła jedna tylko jasna planeta lśniła przyjaźnie a wiernie, jak twarz starego przyjaciela.

Gdy tak spoglądałem na gwiazdziste niebo, szybko pierzchały wszystkie moje niepokoje, wszystkie troski ziemskiego życia. Myślałem o niezmierzonej odległości tych gwiazd i o ich powolnym, lecz niepowstrzymanym biegu z nieznaną przeszłością w nieznaną przyszłość. Pomyślałem o wielkim cyklu, jaki zakreśla biegun Ziemi. Załedwie czterdzieści razy spełnił się ten cichy obrót w ciągu lat, które przeżyłem. A wszelka działalność, wszelkie tradycje, wszystkie narody, języki, literatury, dążności, nawet pamięć o człowieku takim, jakiego ja znałem, zmiecione zostały z powierzchni ziemi. Miejsce to zajęły jedynie drobne istoty, które zapomniały już o swym wysokim pochodzeniu, i owe białe stwory, które przejmowały mnie trwogą. Pomyślałem o Wielkim Strachu, jaki rozdzielał oba gatunki ludzkie, i zadrżawszy uświadomiłem sobie po raz pierwszy z całą dokładnością, jakie to mięso mogłem widzieć wówczas w podziemiu. Było to już zbyt okropne! Spojrzałem na małą Weenę, która spała obok mnie, na jej białą twarz — jak gwiazdę wśród gwiazd — i szybko odpędziłem złe myśli.

W ciągu długiej nocy starałem się, o ile mogłem, nie myśleć o Morlokach i dla zabicia czasu zacząłem z chaosu nowych gwiazd na niebie wyobraźnią wydobywać dawne konstelacje. Całe niebo było bardzo jasne, z wyjątkiem jednego może ciemnego obłoczka. Z pewnością też zdrzemnąłem się raz i drugi. Ale w końcu moje czuwanie w ciemnościach skończyło się. Na wschodzie zjawiła się luna niby blask jakiegoś bezbarwnego ognia i wzeszedł księżyc w ostatniej fazie — cienki, ostry, biały. A niebawem zaćmiwszy księżycowe światło, podniósł się brzask, z początku blady, później coraz różowszy i cieplejszy. Nie zbliżył się do nas ani jeden Morlok. Istotnie, tej nocy nie widziałem żadnego z nich na pagórku. I w ufności, jaką przejęło mnie przebudzenie się dnia, zacząłem już uważać swe obawy za najzupełniej bezzasadne. Wstałem i uczułem ból w pięcie; noga spuchła mi w kostce (skutek chodzenia w bucic bez obcasa); usiadłem znowu, zdjąłem trzewik i odrzuciłem go od siebie. Obudziłem Weenę. Weszliśmy do lasu, teraz już zielonego i miłego, tak jak poprzednio był czarny i zastraszający. Znaleźliśmy owoce, mogliśmy się więc posilić. Wkrótce potem ujrzeliśmy miły ludek, śmiejący się i tańczący w świetle słońca, jak gdyby wcale nie było nocy w przyrodzie. I wtedy znowu pomyślałem o owym mięsie w podziemiach. Wiedziałem niezawodnie, co to było za mięso, i żal ścisnął mi serce nad tym ostatnim strumyczkiem pozostałym z wielkiego potoku ludzkości... Widocznie w długim łańcuchu wieków, gdy ród ludzki zaczął upadać, wyczerpały się Morlokom zapasy żywności. Żywili się prawdopodobnie szczurami lub podobnym plugastwem. Nawet obecnie człowiek jest mniej wybredny i wyłączny w swym pokarmie, niż był niegdyś, jeszcze mniej niż małpa. Odraza do mięsa ludzkiego widać nie jest wcale tak głęboko zakorzenionym instynktem. O, ci nieludzcy dziedzice ludzkości!

Starałem się spojrzeć na rzecz ze stanowiska naukowego. Byli oni, w każdym razie, bardziej od nas oddaleni i mniej ludzcy niż nasi przodkowie — ludożercy sprzed trzech czy czterech tysięcy lat. Zanikła przy tym inteligencja, która budziłaby odrazę do takiego stanu rzeczy. Czemuż więc się tak martwię? Owi Eloje to wręcz tylko bydlę tuczony, hodowany przez mrówczo skrzących Morloków, którzy później na nie polują, oszczędzając młode potomstwo. Ale przecież obok mnie płasza Weena!

Starałem się nie ulegać przerażeniu, jakie mnie ogarniało na myśl, że taki stan rzeczy jest surową karą za samolubstwo ludzkie. Człowiek zadowolił się życiem w wygodzie i dostatku kosztem pracy bliźnich, przyjął Konieczność za hasło i wymówkę, ale z biegiem czasu Konieczność zwróciła się przeciwko niemu... Próbowałem wzbudzić w sobie carly-

le'owską wzdargę dla arystokracji chylącej się ku upadkowi. Było to jednak niemożliwe: Eloje, przy całym swoim umysłowym niedorozwoju, zachowali jednak zbyt wiele cech człowieczeństwa, aby nie mieli prawa do mego współczucia. To, na co patrzałem, nie zdołało współczucia tego zniweczyć, ale nie mogłem przecież uczestniczyć w ich poniżeniu ani w ich strachu.

Nie zdawałem sobie jasno sprawy z tego, co powinienem zrobić. Pierwszą moją myślą było zapewnić sobie bezpieczne schronienie i broń z metalu lub kamienia, jaką tylko udałoby mi się zdobyć. To była konieczność nie cierpiąca zwłoki. Spodziewałem się znaleźć środki do rozpalania ognia, by mieć jako oręż pochodnię w ręku, gdyż wiedziałem, że nic nie działa skuteczniej na Morloków. Następnie chciałem zbudować przyrząd do rozbicia brązowych drzwi pod białym sfinksem. Snuła mi się po głowie myśl o taraniu. Miałem pewność, że gdybym mógł tylko dostać się tymi drzwiami do środka i nieść przed sobą zapaloną pochodnię, zdołałbym odszukać wehikuł czasu i umknąć z tego świata przyszłości. Nie sądziłem, aby Morlokowie mieli dość siły, by daleko uprowadzić maszynę. Weenę postanowiłem zabrać ze sobą na ten nasz dzisiejszy świat. I snując takie zamysły zbliżałem się coraz bardziej do budynku, który obrałem w myśli na wspólne nasze mieszkanie.

ROZDZIAŁ VIII

Pałac z Zielonej Porcelany, do którego dotarliśmy około południa, był opuszczony i zrujnowany. W oknach pozostały tylko kawałki potłuczonych szyb, a duże tafle zielonej licówki powypadały z zardzewiałych ram. Stał bardzo wysoko nad łąką, a gdy przed wejściem doń rzuciłem był okiem na północny wschód, ujrzałem ze zdziwieniem szeroko rozlane wody tworzące jakby zatokę w miejscu, gdzie niegdyś, jak mniemałem, leżało dzisiejsze Wandsworth lub Battersea. Pomyślałem wtedy — nie doprowadzając jednak tej myśli do końca — co się stać mogło, co się stało z istotami żyjącymi w morzu?

Po bliższym przyjrzeniu przekonałem się, że materiał, z którego zbudowano pałac, był rzeczywiście porcelaną: na fasadzie pałacu dostrzegłem napis, złożony z nie znanych mi znaków. Pomyślałem sobie, co prawda bez wielkiego zastanowienia, że Weena pomoże mi go odczytać, lecz dowiedziałem się tylko, że nie miała najmniejszego pojęcia o czytaniu. Zawsze wydawała mi się więcej człowiekiem, niż była w istocie — może dlatego właśnie, że przywiązała się do mnie tak po człowieczemu.

Za wielkimi podwojami, które były potraskane i stały przed nami otworem, ujrzałem, zamiast zwykłej sali, długą galerię oświetloną za pomocą licznych okien bocznych. Pierwszy rzut oka nasunął mi myśl o muzeum. Ceglana podłoga była grubo pokryta kurzem, który podobnie zalegał szarą powłoką dziwny szereg najrozmaitszych przedmiotów. Pośrodku sali stało coś osobliwie chudego; była to dolna część dużego szkieletu. Poznałem po krzywych nogach, że jest to stworzenie wymarłe, podobne do *Megatherium*. Czaszka i kości górnej części leżały obok w grubym pyłe, a w jednym miejscu, gdzie woda deszczowa sączyła się przez otwór w dachu, szkielet był mocno podniszczony. Dalej w galerii stał znów olbrzymi baryłkowaty szkielet brontozaura. Potwierdziło się zatem moje przypuszczenie, że było to muzeum. Odszedłszy na bok znalazłem pochyłe jakby półki, a starszy grubą warstwę pyłu odkryłem dobrze znane gablotki naszych czasów. Większość z nich pewno była hermetycznie zamknięta, sądząc z doskonałego stanu przechowywanej zawartości.

Widocznie staliśmy wśród ruin jakiegoś South Kensingtonu ostatnich czasów. Tu niewątpliwie znajdował się oddział paleontologiczny, a ów zbiór wykopalisk musiał być niegdyś wspaniały. Nieunikniony proces rozkładu wszystkich tych skarbów spełniał się wprawdzie z nadzwyczajną powolnością i z nieodwołalną skutecznością, zupełne wyginiecie bakterii i grzybów odjęło mu jednak dziewięćdziesiąt dziewięć setnych jego siły powstrzymując zarazem na pewien czas sam proces rozkładu. Tu i ówdzie napotykałem rzadkie skamieniałości potłuczone na kawałki lub ponawlekane na trzciniki jak paciorki, co świadczyło, że mały lud zajmował się zbiorami. Niektóre gablotki zostały opróżnione, jak sądzę, przez Morloków.

Panowała wielka cisza. Gruby pył głużył nasze kroki. Weena, która toczyła morskiego jeża po pochyłym szkle gablotki, naraz podeszła ku mnie, gdy się rozglądałem dookoła, najspokojniej wzięła mnie za rękę i odtąd już nie odstępowała ani na krok.

Z początku byłem tak zdziwiony tym starożytnym pomnikiem epoki rozumu, że nie pomyślałem wcale, co też mogę w nim znaleźć. Nawet myśl, która mnie gwałtownie zajmowała, myśl o wehikule czasu, opuściła mnie zupełnie.

Sądząc z rozmiarów, Pałac z Zielonej Porcelany zawierać musiał poza galerią paleontologiczną znacznie więcej zbiorów; być może — galerie historyczne, a może nawet bibliotekę! Byłoby to dla mnie z uwagi na me położenie daleko ciekawsze niż ów widok prastarych, rozkładających się już okazów geologicznych. Przy dalszym badaniu znalazłem inną, krótszą, biegnącą prostopadłe do pierwszej galerię, która była najwyraźniej poświęcona mineralogii, a widok bryły siarki przywiódł mi na myśl proch. Nie mogłem jednak znaleźć saletry ani też azotanów: bez wątplenia przed wiekami jeszcze uległy one zupełnemu splukaniu. Jednakże siarka utkwiała mi w pamięci i nadała kierunek myślom. Niewiele mnie zajmowała pozostała część galerii, jakkolwiek zachowała się w najlepszym stanie w porównaniu z tym, com widział. Nie znam się na mineralogii, przeszedłem więc do bardzo zrujnowanego skrzydła, równoległego do sali, do której wszedłem był najpierw. Oddział ten był widocznie poświęcony historii naturalnej, lecz z tego, co się tu znajdowało, od dawna już chyba nic zupełnie nie dawało się rozpoznać. Pewna ilość pokurczonych i szerniałych szczątków wypchanych zwierząt, pozyschane mumie w słojach, gdzie niegdyś był spirytus, bury proch z rozpadłych roślin: oto wszystko! Smuciło mnie to, bo bardzo byłbym rad poznać żmudne wysiłki, dzięki którym ujarzmiono przyrodę.

Następnie doszliśmy do galerii wręcz kolosalnych rozmiarów, lecz szczególnie źle oświetlonej; podłoga spadała tu pochyło pod niewielkim kątem w stronę przeciwległą do wejścia. W pewnych odstępach z sufitu zwisały się białe banie, niektóre potłuczone lub rozbite. Widać sala z początku była oświetlona sztucznie. Tu czułem się już bardziej na swoim gruncie. Po obu stronach piętrzyły się olbrzymie kształty wielkich machin; wszystkie były już bardzo zardzewiałe, jedne pogruchotane, niektóre jednak prawie nieknuęte. Jak wiecie, mam pewną słabość do wszelkich mechanizmów; brała mnie też chętka pozostać wśród nich dłużej, tym bardziej że większość była dla mnie zagadką i mogłem tylko snuć dalekie domysły na temat ich użyteczności. Wyobrażałem sobie, że jeżeli odgadnę ich przeznaczenie, pozyskam zaraz siłę, której będę mógł użyć przeciwko Morlokom.

Nagle podbiegła do mnie Weena — tak nagle, że aż się przestraszyłem. Gdyby nie ona, nie zauważyłbym chyba owego pochylecia podłogi.² Kraniec sali, gdzie było wejście, znajdował się bowiem nad poziomem ziemi i był oświetlony za pomocą nielicznych wąskich okien, podobnych do szpar w murze. A im dalej się szło w dół, podnoszący się poziom gruntu zasłaniał stopniowo okna i w końcu idący znajdował się w piwnicy zwanej „londyńskim podwórzem”, gdzie światło docierało już tylko przez wąski otwór u góry. Z wolna posuwałem się naprzód, dziwiąc się machinom. Byłem zanadto nimi zajęty, aby dostrzec, że robi się coraz ciemniej, i dopiero wzrastający niepokój Weeny zwrócił moją uwagę. Spostrzegłem wtedy, że galeria niknie w głębi w zupełnym mroku. Zawahałem się, po czym rozejrzawszy się dookoła zauważyłem, że na podłodze mniej jest pyłu i powierzchnia jej nie jest już tak gładka i równa jak tam wyżej. Im dalej w głąb ciemnej czeluści, tym więcej drobnych śladów stóp. W tejże chwili odniosłem wrażenie, że obecni są tu Morlokwie, ja zaś tracę czas na to akademickie badanie machin. Zdałem sobie sprawę, że jest już dobrze po południu i że nie mam dotąd ani bronii, ani schronienia, ani żadnych środków do rozniecenia ognia. Przy tym z głębokich mroków galerii dolatywało szczególnie dreptanie i takie same dziwne szmery, jakie już raz słyszałem podówczas w głębi studni.

Schwyciłem Weenę za rękę. Naraz błysnęła mi myśl i puściwszy rękę Weeny poszedłem do maszyny, z której sterczał drążek czy też dźwignia podobnie jak przy zwrotnicach. Wdrapawszy się na podium i uchwyciwszy drążek oburącz, nacisnąłem go z całej siły. Nagle Weena, pozostawiona sama w środkowej części hali, zaczęła płakać. Udało mi się ocenić wytrzymałość drążka od jednego rzutu oka, bo złamał się po jednonumitowym naciskaniu, i do płaczącej pośpieszyłem już z maczugą w rękę, nadto wystarczającą do rozbicia łba każdemu Morlokwowi, którego bym napotkał. Gorąco pragnąłem zabijać!

²nie zauważyłbym chyba owego pochylecia podłogi — być może podłoga nie była pochylona, lecz samo muzeum zbudowane zostało na zboczu wzgórza. [przypis autorski]

Myślicie sobie pewno, że to nieludzkie zabijać swych potomków. Ale ja wówczas w żaden sposób nie mogłem nic człowieczego znaleźć w tych istotach. Tylko wzgląd na Weenę, której nie chciałem opuszczać, oraz przekonanie, że jeżeli zechcę pragnienie swe zaspokoić, może na tym ucierpieć wehikuł czasu, powstrzymały mnie od zapuszczenia się w głąb galerii i zabijania tych bestii, których głosy już mnie dochodziły.

Z maczugą w jednej ręce, drugą prowadząc Weenę przeszedłem więc z tej galerii do innej, jeszcze większej, która na pierwszy rzut oka przypomniła mi kaplicę wojskową obwieszoną postrzępionymi sztandarami. Zorientowałem się jednak, że szare poszarpane łachmany, które zwisały z jednej i z drugiej strony galerii, są butwiejącymi szczątkami książek. Od dawna to wszystko gniło, rozlażyło się, rozsypywało i nie znać było już na tym żadnych śladów druku. Lecz tu i ówdzie spazzone okładki i popękane okucia metalowe dość wymownie opowiadały dzieje tego przybytku. Gdybym był literatem, moralizowałbym może na temat marności wszelkich ambicji; lecz w danych okolicznościach uderzył mnie tylko z gwałtowną mocą ogrom zmarnowanej pracy, o jakiej świadczyła ciemna otchłań butwiejącego papieru. Muszę przyznać, że w owym czasie myślałem głównie o «Spekulacjach Filozoficznych»³ i o moich własnych siedemnastu pracach z optyki fizycznej.

Następnie po szerokich schodach weszliśmy do czegoś, co mogło być niegdyś galerią chemii technicznej. Tutaj miałem niemalą nadzieję poczynić użyteczne odkrycia. Z wyjątkiem miejsca, gdzie zapadł się był dach, galeria zachowana była w dobrym stanie. Chciwie przeglądałem każdą nie uszkodzoną gablotkę; wreszcie w jednej, hermetycznie zamkniętej, znalazłem pudełko zapalek. Skwapliwie potarłem jedną na próbę: były zupełnie dobre; nawet nie zwilgły.

— Tańcz! — krzyknąłem do Weeny w jej języku, teraz bowiem miałem już broń przeciwko tym strasznym istotom, których oboje takeśmy się lękali! I w tym opuszczonym muzeum, na grubym dywanie kurzu, ku wielkiemu zachwytowi Weeny uroczyście wykonałem coś w rodzaju wielce złożonego tańca, gwizdząc, o ile mogłem, wesołą piosenkę. Był to częściowo skromny kankan i taniec posuwisty, i płąsy z przysiadami (o ile na to pozwalały moje poły), i wreszcie coś własnego pomysłu — jak wiecie bowiem, jestem urodzonym wynalazcą.

Taniec

I myślę sobie teraz, że jak dla owego pudełka zapalek wymknienie się zagładzie czasu w ciągu niepamiętnych lat było w najwyższym stopniu zadziwiające, tak dla mnie znowu stało się to szczęściem niewymownym. Co więcej — to już prawdziwy cud — znalazłem też coś daleko jeszcze osobliwszego, mianowicie — kamforę. Znajdowała się w zapieczętowanym słoiku, który przypadkowo, jak sądzę, był rzeczywiście hermetycznie zamknięty. Z początku sądziłem, że jest to wosk parafinowy, i rozbiłem szkło. Lecz zapach kamfory nie dopuszczał pomyłki. Wśród powszechnego zniszczenia udało się materii lotnej przetrwać może całe tysiące wieków. Przypomniało mi to widziane niegdyś malowidło sepią z belemnitu kopalnego, który chyba jeszcze przed milionem lat musiał zamrzeć, aby się ostatecznie zamienić w skamielinę kopalną. Już miałem kamforę porzucić, gdy przypomniałem sobie, że jest to łatwo palne ciało, które płonie dobrym, jasnym płomieniem i jest zatem wyborną świecą. Włożyłem więc kamforę do kieszeni. Nie znajdowałem jednak materiałów wybuchowych ani żadnych środków do wylamania brązowych drzwi. Dotychczas ów stalowy drąg był najużyteczniejszym przedmiotem, jaki znalazłem. Niemniej jednak opuściłem galerię pokrępowany na duchu.

Nie zdołam wam opowiedzieć wszystkiego, co mi się wydarzyło w ciągu tego długiego popołudnia. Trzeba by dużego wysiłku pamięci, aby przypomnieć sobie kolejno to, co się widziało i przeżyło. Pamiętam długą galerię zardzewiałej broni; pamiętam, jak wahałem się pomiędzy drażkiem, który już miałem, a siekierą czy też mieczem. Nie mogłem jednak zabrać obojga, a mój drażek żelazny wydawał mi się najlepszy na owe drzwi z brązu. Była również w muzeum wielka liczba dział, pistoletów i strzelb. Większość zmieniła się już w kupę rdzy, lecz niektóre były z jakiegoś nowego metalu i wydawały dobry dźwięk. Natomiast naboje i proch, jakie mogły tu być niegdyś, dawno już obróciły się w pył.

³«Spekulacje Filozoficzne» — ang. «Philosophical Transactions of the Royal Society» (czasopismo naukowe wydawane od 1665 r.). [przypis edytorski]

Jeden róg sali był zrujnowany: być może wskutek wybuchu wśród nagromadzonych okazów. W innym miejscu stały rzędem bożki: polinezyjskie, meksykańskie, greckie, fenickie — z każdego, jak myślę, zakątka ziemi. Tutaj, ulegając niepowstrzymanemu popędowi, napisałem swe nazwisko na nosie steatytowego potwora z Ameryki Południowej, który szczególnie mnie zajął.

Im bliżej wieczora, tym bardziej słabło moje zainteresowanie zbiorami. Przechodziłem z jednych galerii do drugich, zakurzonych, cichych, w części zrujnowanych. Okazy w nich były już tylko kupami rdzy i lignitu; rzadko napotykałem trochę lepiej zachowane eksponaty. W jednym miejscu znalazłem się nagle obok małego modelu kopalni i przez prosty przypadek dostrzegłem w hermetycznie zamkniętym pudełku dwa dynamitowe naboje! Wykrzyknąłem „Eureka!” i z radością rozbiłem pudełko. Potem dopiero przyszło zwątpienie. Zawahałem się. Wybrawszy następnie na przeprowadzenie doświadczenia niewielką boczną galerię, zrobiłem próbę. Nigdy nie czułem podobnego rozczarowania jak wówczas, gdy pięć, dziesięć, piętnaście minut czekał na wybuch, który nie nadchodził. Z pewnością były to tylko modele. Jestem przekonany, że gdyby było inaczej, zniszczyłbym i wysadził w sfery niebytu i białego sfinksa, i brązowe drzwi i, jak się okazało, jedyne me widoki odnalezienia wehikułu czasu.

Potem dopiero, jak sądzę, przeszliśmy na niewielkie wewnętrzne podwórze pałacu, które było trawnikiem, a rosły na nim trzy owocowe drzewa. Odpoczęliśmy i pokrzepiliśmy się. Przed zachodem słońca zacząłem się rozglądać w położeniu. Noc już nadciągała, a dotąd jeszcze nie znalazłem nieprzystępnego schronienia. Mało mnie to jednak niepokoiło. Miałem w posiadaniu swym przedmiot, który był może najlepszą bronią przeciwko Morlokom — zapalki! Miałem nadto w kieszeni kamforę, na wypadek gdybym potrzebował płomienia. Zdawało mi się, że najlepiej będzie spędzić noc na otwartym powietrzu pod osłoną ognia. Z rana urządzi się wyprawę po wehikuł czasu. Dotychczas jako jedyne narzędzie do tego celu miałem stalową maczugę. Obecnie jednak, w miarę zdobywania doświadczenia, inaczej już podchodziłem do owych drzwi z brązu. Dotychczas powstrzymywałem się od wyłamania ich głównie przez wzgląd na tajemnicze wnętrze. Drzwi te nie sprawiały wrażenia przeszkody bardzo silnej i spodziewałem się, że mój żelazny drąg zupełnie się nada do tego celu.

ROZDZIAŁ IX

Gdy wychodziliśmy z pałacu, słońce znajdowało się jeszcze nieco nad horyzontem. Postanowiłem dotrzeć do białego sfinksa wczesnym rankiem, a przed zmrokiem jeszcze chciałem przedrzeć się przez lasy, które mnie zatrzymały poprzedniego dnia. Postanowiłem zająć tej nocy jak można najdalej, a roznieciwszy ogień przespać się pod jego osłoną. Dlatego też po drodze zbierałem wszelkiego rodzaju gałązki i suche trawy i zgromadziłem już pełne naręcze tego paliwa. Przy takim obciążeniu posuwałem się wolniej, niż chciałem, a nadto Weena była zmęczona. Mnie również ogarniała senność i do lasu doszliśmy dopiero koło północy. Na zboczach pagórka pokrytego zaroślami Weena chciała się zatrzymać bojąc się ciemności, lecz szczególne uczucie groźnego niebezpieczeństwa, które powinienem był uważać za znak ostrzegawczy, pognęło mnie naprzód. Przez całą jedną noc i dwa dni wcale nie spałem, byłem więc rozgorączkowany i podniecony; ogarniała mnie coraz większa senność, a wraz z nią przybliżali się Morlokwie.

Gdy wahaliśmy się, czyby istotnie się nie zatrzymać, ujrzałem za sobą, na ciemnym tle krzaków, trzy pelzające postacie. Byliśmy w gęstwinie leśnej, w wysokiej trawie, tak iż nie czułem się zabezpieczony od zdradzieckiego podejścia. Na oko las nie zajmował nawet całej mili angielskiej. Gdybyśmy mogli dojść do obnażonego pagórka, pozyskalibyśmy bezpieczne stanowisko. Sądziłem, że zapalkami i kamforą będę mógł oświetlać sobie drogę przez las. Oczywiście, chcąc korzystać z zapalek, musiałem wypuścić z rąk ów zdobyty opał; dosyć też niechętnie złożyłem go na ziemi. Wtedy przyszło mi do głowy, że jeżeli podpalę chrust, wprawię w ogromne zdziwienie — naszych nieprzyjaciół. Później przekonałem się, jak straszne szaleństwo było w tym zamiśle; na razie wydało mi się to jednak znakomitą taktyką dla zasłonięcia odwrotu.

Nie wiem, czy pomyśleliście kiedy, jaką rzadkością jest pożar w umiarkowanym klimacie bez współdziałania człowieka. Ciepło słoneczne rzadko kiedy bywa tam tak silne, aby mogło zapalić, nawet jeżeli jest zogniskowane przez krople rosy, co się niekiedy zdarza

w stepach podzwrotnikowych. Piorun może opalić i zwęglić, lecz rzadko kiedy wzniesie pożar szerzący płomień. Butwiejące rośliny niekiedy rozgrzewają się od ciepła fermentacji, lecz również rzadko kiedy zajmują się płomieniem. A nadto w owej epoce upadku zapomniano już na ziemi sztuki rozniecania ognia. Czerwone języki, które zaczęły lizać naręcze mojego drzewa, były nowym przedmiotem podziwu dla Weeny.

Podbiegła do ognia, aby się nim bawić. Przypuszczam, że rzuciłaby się w płomień, gdybym jej nie powstrzymał, ale schwyciłem ją wpół i pomimo jej oporu śmiało zapuściłem się w las. Na niewielkiej przestrzeni blask płomienia oświecał drogę. Obejrząwszy się za siebie, zauważyłem wśród krzyżujących się konarów, że od mojego stosu płomień przeskoczył do przyległych krzaków i po trawie pełza już węzowata linia płomienia. Uśmiechnąłem się i skierowałem ku leśnej gęstwini, którą miałem przed sobą. Było bardzo ciemno. Weena przytuliła się do mnie konwulsyjnie, wokół jednak panowała cisza, a że oczy moje przywykły do ciemności, widziałem dość dobrze, aby omijać gałęzie. Nad głowami mieliśmy — nieprzeniknioną ciemność z wyjątkiem rzadkich szczelin, przez które przeświecały plamy błękitnego nieba. Nie zapalałem zapalek, bo nie miałem wolnych rąk. Na lewym ramieniu niosłem moją małą, w prawej ręce trzymałem stalowy drąg.

Przez pewien czas nie słyszałem nic prócz chrzęstu gałęzi pod nogami, słabego szmeru wiatru nad głową, własnego oddechu i tętna w uszach. Później usłyszałem około siebie dreptanie. Rozszoszczony posuwałem się naprzód. Dreptanie stawało się coraz wyraźniejsze. Rozróżniałem już teraz te same dziwne dźwięki i głosy, które słyszałem już tam, w podziemnym świecie: widocznie Morlokwie usiłowali mnie osaczyć. Istotnie, uczułem nagle, że ktoś ciągnie mnie za surdut, a później za rękę. Weena zadrżała gwałtownie; po chwili ucichła zupełnie.

Był najwyższy czas, by zapalić zapalną; lecz dla wykonania tego musiałem ciężar mój złożyć na ziemi; tak też uczyniłem, a gdy szukałem w kieszeni, u kolan moich w ciemności wywiązała się walka przy zupełnym milczeniu Weeny i osobliwszym jakby gruchaniu Morloków. Miękkie, drobne ręce pełzały po mym tułowiu i grzbiecie, dotykały nawet szyi. Zapalną błysła z trzaskiem. Trzymałem ją w ręku; ujrzałem białe grzbiety Morloków uciekających pomiędzy drzewami. Czym prędzej porwałem z kieszeni kawał kamfory, gotów zapalić go natychmiast, gdy już zapalną będzie się dopalać.

Spojrzałem na Weenę: leżała bez ruchu, uczepiwszy się moich nóg, z twarzą zwróconą ku ziemi. W nagłym przestrachu pochyliłem się nad nią. Zdawało się, iż ledwie oddycha. Zapaliłem kawał kamfory i cisnąłem go na ziemię, a gdy pękając palił się odpędzając Morloków i cienie, ukląknąłem i podniosłem ją. Las za mną był pełen szmeru i zgłębku licznego tłumu.

Weena robiła wrażenie zemdlonej. Wziąłem ją łagodnie na ręce i podniosłem się, aby iść dalej. Wtedy poznałem straszliwą prawdę. Podczas manipulacji z zapalną i Weeną, ciągle się obracając, utraciłem kierunek drogi i najmniejszego już nie miałem pojęcia, w którą stronę należy iść. Wiedziałem tylko, że za sobą mam Pałac z Zielonej Porcelany. Zimny pot mnie oblewał. Musiałem prędko obmyślić, co robić. Postanowiłem rozniecić ogień i obozować w tym miejscu, gdzie przystanęliśmy. Złożyłem na murawie Weenę, wciąż jeszcze jakby martwą, i pośpiesznie — jako że pierwszy kawałek kamfory już się dopalał — zacząłem zbierać gałęzie oraz suche liście. Tu i ówdzie świeciły dokoła mnie oczy Morloków jak karbunkuły.

Kamfora zaszczalała i zgasła. Potarłem zapalną i spostrzegłem, że dwie białe postacie, które zbliżyły się już do Weeny, szybko umknęły. Jedną ogień tak oślepił, że pędziła prosto na mnie; czułem, jak kości jej zachręściły pod uderzeniem mojej pięści. Usłyszałem żalony jęk i upadek. Zapaliłem drugi kawałek kamfory i zacząłem zbierać paliwo. Zauważyłem nadzwyczajną suchość gałęzi rosnących na wzgórzu. Od czasu mego przyjazdu na wehikule czasu, czyli od tygodnia, deszcz nie padał ani razu. Zamiast przeto zbierać pośród drzew gałęzie już opadłe, zacząłem podskakiwać w górę i ściągać na dół jeszcze żywe konary z drzew. Bardzo prędko roznieciłem dymiący ogień z zielonych gałęzi i suchego chrustu i mogłem sobie w ten sposób oszczędzić kamfory.

Wróciłem do Weeny, która leżała koło mojej stalowej maczugi. Nie żałowałem wysiłków, aby ją ocucić, lecz ona wciąż była jak martwa. Nie mogłem nawet dla własnego spokoju przekonać się, czy jeszcze oddycha.

Teraz dym szedł prosto na mnie. Pod działaniem jego ociążałem i zacząłem tracić siły. Na domiar złego powietrze było przesycone kamforą. Ognia nie potrzebowałem wcale zasilać przez jakąś godzinę. Czulem się bardzo zmęczony po trudach i usiadłem. A las wciąż był pełen usypiającego szumu, którego nie rozumiałem. Zdawało mi się, że się tylko co zdrzemnąłem, i otworzyłem oczy...

Dokoła ciemność... Morlokwie wyciągają ręce, sięgają po mnie... Odrzucając ruchliwe ich palce sięgnąłem do kieszeni po zapalki: przepadły! Wtedy obskoczyli mnie po raz drugi. Od razu zrozumiałem, co się stało. Spałem, ogień zgasł... Wielka gorycz śmierci ogarnęła moją duszę. Las pełen był dymu z płonących drzew. Pochwycony za szyję, za włosy i ręce, staczałem się w dół. Było to niesłychanie okropne czuć na sobie w ciemności miękkie, oślizgłe dotknięcia tych istot. Czulem się jakby uwikłany w ogromną pajęczynę. Byłem zmożony: upadłem. Czulem drobne ząbki kłujące mnie w szyję. Gdy się przewróciłem, ręka moja, kiedym padał, dotknęła stalowego drąga. To mi dodało siły. Podjąłem walkę na nowo: strącałem z siebie te ludzkie szczury i, silnie ująwszy żelazo, waliłem tam, gdzie, sądziłem, znajdują się ich łby. Czulem, jak ciała i kości ustępują pod moimi ciosami. W ciągu minuty byłem już oswobodzony.

Opanowało mnie dziwne podniecenie, jakie często towarzyszy zaciętej bitwie. Wiedziałem, że oboje z Weeną jesteśmy zgubieni, lecz powiedziałem sobie, że Morlokwie muszą drogo zapłacić za mięso. Oparłem się o drzewo i wywijąłem przed sobą stalowym drągiem. Cały las był pełen szmerów i krzyków. Upłynęła minuta. Głosy ich podnosiły się w najwyższym podnieceniu, a ruchy stawały się szybsze. Naraz nie było już żadnego wkoło mnie na odległość ramienia. Stałem wpatrując się w mrok. Wróciła mi nadzieja. Czyżby się przestraszyli? W jednym momencie stała się rzecz dziwna. Ciemność wyraźnie ustępowała. Niejasno zacząłem rozróżniać koło siebie białe postacie — trzech podbiegło mi pod nogi — i z niewypowiedzianym zdziwieniem spostrzegłem, że i inni biegle, płynęli nieustannym potokiem, ile rozpoznać mogłem, z tej części lasu, którą miałem już za sobą, do tej, która mnie jeszcze czekała. Plecy ich wydawały się nie białe, lecz czerwone. Gdy tak stałem z otwartymi ustami, ujrzałem małą czerwoną iskierkę. Przeleciała przez kawałek gwiaździstego nieba wśród gałęzi i znikła. Wówczas właśnie poczułem woń palącego się drzewa, usłyszałem usypiający szmer, który teraz wzrastał w głośny gwar, i zrozumiałem, skąd pochodziło czerwone światelko i dlaczego Morlokwie uciekają.

Odstąpiwszy od drzewa i spoglądając za siebie ujrzałem płomienie palącego się lasu za ciemną ścianą najbliższych drzew. Było to moje najpierwsze ognisko, które teraz szło za mną. Jednocześnie obejrzałem się szukając Weeny, ale jej już nie było. Syczenie i trzask poza mną, łoskot pękających drzew, które ogarniał płomień, pozostawiały mi mało czasu do namysłu. A mój stalowy drąg wciąż jeszcze bił, uderzał. Puściłem się za Morlokami. Nędzna to była rasa! Raz płomienie przemknęły tak szybko na prawo ode mnie, że już mnie oskrzydlały, musiałem rzucić się w lewo. W końcu jednak wydostałem się na niewielką polanę leśną i w tej chwili jakiś Morlok biegnąc na oślep natknął się na mnie, odbił się i wpadł w ogień.

Wówczas uderzył mnie widok jeszcze dzikszyszy, najstraszniejszy, jak sądzę, ze wszystkiego, co przeżyłem w tej przyszłej epoce świata. Cały przestwór był jasny od blasku ognia jak we dnie. Pośrodku wznosiła się wyżyna czy też pagórek pokryty kolącym głógiem. Dalej ciągnęła się odnoga płonącego lasu z wijącymi się po niej żółtymi językami, okalając przestrzeń jakby ognistym parkanem. Na pagórku stało ze trzystu czy czterystu Morloków, oślepych od światła i żaru, biegających tu i ówdzie, wpadających na siebie. Z początku nie zdawałem sobie sprawy z ich ślepoty i w szale strachu waliłem wściekle, gdy zbliżali się do mnie, zabijając i kalecząc niejednego. Lecz gdy przyjrzałem się ruchom któregoś z nich, co pełzał pod cierniami, gdy usłyszałem ich jęki — byłem już pewny zupełnej ich bezradności wobec ognia i niedoli i na żadnego więcej ręki nie podniosłem.

Chwilami któryś z nich wpadał wprost na mnie wzbudzając odrazę, która zmuszała mnie do usunięcia się na bok. Naraz płomienie przygasły i zacząłem się już obawiać, żeby mnie te nędzne istoty nie dostrzegły. Już myślałem rozpocząć walkę, aby ich pozabijać z osobna, lecz ogień ponownie zapłonął jasno, więc powstrzymałem się. Chodziłem po pagórku, na którym się roili; wymijając ich szukałem jakiegokolwiek śladu Weeny. Ale Weena znikła.

W końcu usiadłem na wierzchołku pagórka i zacząłem się przyglądać temu nie do uwierzenia dziwnemu tłumowi oślepych stworzeń, które roily się teraz w różnych kierunkach wydając dzikie krzyki, ilekroć sparzył je ogień. Klębiące się słupy dymu wzbijały się w niebo, a na rzadkich skrawkach czerwonego sklepienia niebios, dalekich, jakby należały do innego świata, błyszczały małe gwiazdki. Dwóch lub trzech oślepionych Morloków wpadło na mnie; z dreszczem wstrętu odpędziłem ich pięściami.

Przez większą część nocy miałem wrażenie, że to, co działo się ze mną, jest tylko nocną zmurą. W złości biłem samego siebie i krzyczałem głośno, pragnąc się obudzić. Rzuciłem się na ziemię waląc w nią rękami, zrywałem się, siadałem, biegałem na wszystkie strony i znowu padałem na ziemię. Tarłem oczy błagając Boga, aby mnie rozbudził. Po trzykroć widziałem Morloków pochylających głowy jakby w agonii i wpadających w ogień. Lecz w końcu ponad nieustającą czerwienią ognia, ponad masami czarnego dymu, ponad bielejącymi i czerniejącymi pniami drzew, ponad zmniejszającą się wciąż liczbą tych mglistych postaci — zabłysło białe światło dnia.

Znowu zacząłem szukać śladów Weeny, lecz nic nie odnalazłem. Jasne się stało, iż biedne, drobne jej ciało pozostawili w lesie. Nie zdołam wam opisać, jaką ulgę sprawiła mi myśl, że uniknęła złowrogiego losu, jaki ją czekał. Myśląc o tym poczułem — znowu chęć mordowania tego wstrętnego a na zagładę już wydanego robactwa, które mnie opadło, lecz powstrzymałem się. Pagórek, jak wspominałem, był rodzajem wyspy w lesie. Z wierzchołka jego zdołałem przez mgłę dymu dostrzec Pałac z Zielonej Porcelany, a stamtąd już mogłem posłać wzrok w stronę białego sfinksa. Omijając niedobitki tych przeklętych stworów, które błąkały się jeszcze tu i ówdzie i wskutek wzmagającej się jasności dziennej jęczały ze strachu, owinąłem sobie nogi trawą i przeskakiwałem przez dymiące zgliszcza i czarne pnie, które jeszcze buchały ogniem z wnętrza, zdążając do miejsca, w którym Morlokwie schowali byli wehikuł czasu. Posuwałem się z wolna, gdyż byłem śmiertelnie znużony: kuląłem, czułem przy tym wielki żal z powodu okrutnej śmierci małej Weeny. Odczuwałem ją jak nieszczęście, które mnie przytłaczało bezlitośnie.

Tu, w tym pokoju, do którego tak przywykłem, wydaje mi się to raczej smutnym snem niż rzeczywistą stratą. Lecz owego poranku zniknięcie Weeny osamotniło mnie zupełnie — uczułem się straszliwie opuszczony. Pomyślałem o swoim domu, o tym ognisku, o niektórych z was, a wraz z tymi myślami przyszła tęsknota granicząca z bólem.

W tej wędrowce przez dymiące popioły pod jasnym niebem poranku uczyniłem był odkrycie. W kieszeniach spodni znalazłem jeszcze kilka zapalek bez pudełka: musiało pęknąć, zanim je zgubiłem.

ROZDZIAŁ X

Około ósmej lub dziewiątej z rana doszedłem do tej samej ławki z złotego metalu, z której rozglądałem się był po świecie w wieczór mojego przybycia. Myślałem o pochopnych mych wnioskach tego wieczora i nie mogłem powstrzymać się od gorzkiego śmiechu ze swej łatwowierności.

Krajobraz był tak samo piękny, taka sama bujna roślinność, te same wspaniałe pałace i okazałe, dumnie piętrzące się ruiny, ta sama srebrna rzeka płynąca wśród dwóch żywnych brzegów. Wśród drzew tu i ówdzie migały mi przed oczyma wesołe szaty pięknego ludu. Niektórzy kąpali się w tym samym miejscu, gdzie uratowałem był Weenę, i nagle silny ból odezwał się w mej duszy. Jak plamy na krajobrazie wznosiły się kopuły nad wejściami do świata podziemnego: wiedziałem już teraz, co się ukrywa pod pięknem świata oświetlanego przez słońce. Ludzie pędzili dnie tak mile, jak mile są dnie bydła w polu: jak bydła nie mieli nieprzyjaciół i nie dbali o żadne potrzeby; lecz czekał ich też taki sam koniec jak i bydła.

Gnębiła mnie myśl, że tak krótkotrwałe było marzenie ludzkiego rozumu, który sam działał na swą zgubę. Dopóty dążył bez wytchnienia do wykwintu i wygody, do równowagi społecznej, mając za cel trwałe bezpieczeństwo, aż osiągnął swe dążenie, ale tylko po to, aby w końcu ludzie doszli do tego, co ja ujrzałem! Musiał być jednak moment, kiedy życie i własność osiągnęły to absolutne bezpieczeństwo! Bogacz był spokojny o swe bogactwa i wygody, pracownik — o życie i zatrudnienie. Bez wątplenia, w tym doskonałym świecie nie było już sił nie zużytych, nie było nie rozwiązanych kwestii społecznych.

I oto nastąpił wielki spokój ludzkości.

Ciągła zmienność, niebezpieczeństwa i trudy wyrabiają sprężystość umysłu. Jest to jedno z praw przyrody, na które nie zwracamy uwagi. Zwierzę doskonale przystosowane do otoczenia jest też i doskonałym mechanizmem. Przyroda ucieka się do inteligencji dopiero wtedy, kiedy nawyk i instynkt już nie wystarczają. Nie ma inteligencji, gdy nie ma zmiany i potrzeby zmiany. Inteligencja bywa udziałem tylko takich zwierząt, które napotykać ogromną różnorodność niebezpieczeństw i potrzeb.

Jak już zauważyłem, człowiek podśloneczny stał się wątłą piękną istotą, zaś podziemny mieszkaniec jedynie uosobieniem mechanicznej pracowitości. W owej epoce idealnej mechanizacji zabrakło jednakże równie idealnej ciągłości, która podtrzymywałaby trwale ten stan absolutnej mechanizacji. Widocznie z biegiem czasu w owym podziemnym świecie wyczerpały się dostarczane w jakiś sposób środki żywności. Matka-Potrzeba, stojąca na uboczu przez kilka tysięcy lat, wtargnęła znowu w podziemne regiony.

Morlokowie, pozostający w ciągłej styczności z maszynami wymagającymi mimo wszystko trochę inteligencji prócz zwykłej rutyny, zachowali w odróżnieniu od podślonecznych istot prawdopodobnie więcej przedsiębiorczości niż człowieczeństwa. Kiedy więc zabrakło im pożywienia, poszli za głosem pierwotnego instynktu. Taki był mój ostateczny pogląd na świat z roku 802 701. Teoria moja może być błędna, ze względu na ograniczenie ludzkiego rozumu, ale tak się owe rzeczy przedstawiały, i tak je z kolei wam przedstawiam.

Po znojach, wzruszeniach i okropnościach minionych dni, mimo smutku, jaki odczuwałem, owo miejsce, spokojny widok i ciepłe światło słoneczne prawdziwie mi się uśmiechały. Byłem bardzo zmęczony i senny i wkrótce moje teoretyzowanie przemieniło się w drzemkę. Schwytawszy już raz siebie na spaniu, uległem senności i położywszy się na murawie, zażyłem snu długiego i pokrzepiającego.

Przebudziłem się na krótko przed zachodem słońca. Czuję już teraz, że nie dam się pochwytać Morlokom we śnie; wstałem, przeciągnąłem się i poszedłem ku białemu sfinksowi. W jednej ręce miałem maczugę, drugą trzymałem na zapalkach w kieszeni.

Teraz spotkała mnie rzecz najmniej oczekiwana. Gdym zbliżał się do piedestału sfinksa, dostrzegłem, że wejście do niego stoi otworem. Brązowe klapy zostały opuszczone i weszły w swoje rowki.

Zatrzymałem się na chwilę, wahając się, czy wejść do środka. Wewnątrz znajdowało się małe pomieszczenie, a w kącie, na wzniesieniu, stał mój wehikuł czasu. Dźwignie miałem w kieszeni. Tak więc po wszystkich moich planach oblegania białego sfinksa, obmyślanych z takim wysiłkiem — nastąpiła oto dobrowolna kapitulacja! Odrzuciłem odłamany kawał stali żałując, że na nic mi się już nie przyda.

A kiedym znalazł się u wejścia, przysłała mi do głowy nagła myśl. Przejrzałem bowiem nagle zamiary Morloków! Powstrzymując uśmiech radości wszedłem przez brązową ramę do wnętrza i stanąłem przy wehikule czasu. Z podziwem zobaczyłem, że był wyczyszczony i nasmarowany oliwą. Przypuszczałem przedtem, że Morlokowie rozebrali go na części starając się na chybił trafił poznać jego przeznaczenie. Gdy tak stałem i oglądałem wehikuł znajdując przyjemność w samym już dotykaniu maszyny, stało się to, co przewidywałem. Brązowe tablice zasunęły się nagle i zamknęły z loskotem wyjście z piedestału. Znalazłem się w ciemnościach — złapany w zasadzkę. Był to podstęp Morloków. Uśmiechnąłem się tylko wesoło. Posłyszałem ich szmery i śmiechy... już się do mnie zbliżali.

Z zupełnym spokojem spróbowałem zapalić zapalną. Wystarczyło tylko przymocować dźwignie i mogłem już zniknąć jak duch. Lecz nie zwróciłem uwagi na jedno, że był to obrzydliwy rodzaj zapalek, które zapalają się tylko przy potarciu o pudełko. Możecie więc wyobrazić sobie, jak prędko prysnął mój spokój. Małe bestie były tuż obok; oto jeden już mnie dotknął. Zacząłem machać dźwigniami na oślep i podczas tej operacji włożyłem na siodło. Uczułem na sobie jedną rękę, potem drugą. Musiałem bronić dźwigni przed uporczywymi palcami i namacać zarazem miejsca, gdzie miałem je dopasować. W pewnej chwili omal nie wypadły mi z rąk. Gdy mi się jedna wysunęła na podłogę, musiałem walić na oślep głową w ciemnościach — słyszałem, jak zatrzeszczał łeb Morloka — by ją odzyskać. W porównaniu z walką w lesie byłem w dużo krytyczniejszym położeniu podczas tej ostatniej szarpaniny.

Wreszcie osadziłem ową dźwignię i wprawiłem maszynę w ruch. Ręce, które mnie chwytaly, nagle opadły. Ciemność zniknęła mi sprzed oczu. Znalazłem się w tym samym szarym świetle i w tym samym zgiełku, które opisałem poprzednio.

ROZDZIAŁ XI

Mówiłem wam już o odurzeniu i mdłościach, jakie towarzyszą podróży w czasie. W drodze powrotnej nie siedziałem już w siodle jak należy, tylko przycupnąłem niepewnie na boku. Przez czas, którego określić nie zdołam, byłem jakby przykuty do maszyny, która chwiała się i wirowała w biegu. Było mi wszystko jedno, dokąd jadę, a gdy nareszcie przemogłem się, by spojrzeć na tarcze zegarów, zdziwiłem się, że tak już daleko zajechałem. Jedna tarcza pokazuje dni, inna tysiące dni, inna miliony i wreszcie tysiące milionów. I oto, zamiast przesunąć dźwignię w odwrotnym kierunku, posunąłem je naprzód, a gdy spojrzałem na wskazówki, zauważyłem, że ta, która pokazuje tysiące, biegnie w przyszłość tak szybko, jak wskazówka sekundnika w zegarku.

Gdy się tak posuwałem naprzód, szczególna zmiana zapanowała wśród otaczających mnie zjawisk. Falująca szarzyzna ściemniała i chociaż pędziłem dalej jak szalony, świadczące o malejącej szybkości migotanie przemijających dni i nocy stawało się z wolna coraz wyraźniejsze. Z początku wprawiło mnie to w duży kłopot. Zmiany kolejne dnia i nocy przechodziły coraz powolniej, podobnie też zwalniał się bieg słońca po sklepieniu niebios, w końcu zdawało się to trwać wieki i nad ziemią zapanował półmrok przerywany niekiedy blaskiem lecącej komety. Pręga światła wskazująca bieg słońca znikła już dawno, słońce bowiem przestało zachodzić: podnosiło się tylko i opadało na zachodzie, a z każdym opadnięciem stawało się większe i czerwieńsze. Zniknął też księżyc. Gwiazdy sunęły coraz powolniej, zamieniając się w płonące punkty światła. Wreszcie, na chwilę przed moim zatrzymaniem się, słońce, czerwone i ogromne, stanęło na poziomie bez ruchu, zdrętwiałe, jak wielka kopuła grzejąca tylko posępnym żarem, chwilami nawet zupełnie już gasnąca. Zdarzało się, że na moment rozbłysło świetnie, lecz potem znowu przybrało posępną purpurową barwę. Z owego zaniku wschodów i zachodów słońca wysnułem wniosek, że skończył się już na zawsze ruch Ziemi wokół swej osi. Zwróciwszy się jedną stroną ku Słońcu Ziemia zastygła w spokoju, podobnie jak dziś zwrócony jest ku niej Księżyc. Bardzo ostrożnie, pamiętając, jakem się wywrócił, zacząłem hamować ruch. Wskazówki zwalniały biegu; wskazówka tysięcy stanęła, a dzienna przestała być mgiełką na tarczy. Poruszała się coraz wolniej i zobaczyłem oto zarysy opustoszałego wybrzeża.

Zatrzymałem się spokojnie, usiadłem na maszynie i rozejrzałem się dokoła. Niebo utraciło barwę błękitną. Północny wschód był atramentowo czarny, a w czerni tej świeciły jednostajnie jasne, blade gwiazdy. Nad sobą miałem ciemnoczerwone bezgwiazdne niebo, jaśniejsze na południowym wschodzie od skrzyżnego się szkarlatu; legła tam bowiem przecięta przez horyzont olbrzymia kula słońca, czerwona i nieruchoma. Skąły wokół mnie miały kolor ciemnoczerwony, a jedynym śladem życia, jaki mogłem dostrzec, była ciemna zieloność pokrywająca zbocza od południowego wschodu. Była to ta sama posępna barwa, jaką mają leśne mchy lub porosty w grotach, słowem, rośliny, które rosną w stałym półmroku.

Maszyna zatrzymała się na pochyłym brzegu. Morze rozciągało się na południowy zachód aż ku krańcom jaskrawo oświetlonej części widnokregu, pod bladym sklepieniem niebios. Nie było grzywaczy ani fal, bo nie powiewał najłżejszy nawet wietrzyk. Słabe tylko, ociężałe tętno, podobne do delikatnego oddechu, wzdymało oleistą tafelę świadcząc, że wieczyste morze jeszcze porusza się i żyje. Wzdłuż obmywanego przez wodę brzegu ciągnęła się gruba warstwa soli — różowa na tle ciemnego nieba. Czulem ucisk w głowie; zauważyłem, że oddycham znacznie szybciej. Przypomniało mi to moją jedyną wycieczkę górską, z czego wnoszę, że powietrze było bardziej rozrzedzone niż obecnie.

Ponad pustym brzegiem usłyszałem rozdzierający krzyk i zobaczyłem coś na kształt białego dużego motyla, krążącego po niebie i znikającego za niewysokimi wzgórzami. Krzyk tego stworzenia był tak smutny, że mimo woli zadrżałem i silnie chwyciłem się maszyny. Rozglądając się wkoło zauważyłem, że to, co brałem za czerwoną skałę, zbliża się z wolna ku mnie. Wtedy spostrzegłem, że był to ohydny stwór, podobny do kraba. Wyobraźcie sobie kraba tej wielkości, co tamten stół, z licznymi nogami poruszającymi się z wolna i niepewnie, z olbrzymimi kleszczami w ustawicznym ruchu, z długimi

wąsami podobnymi do biczów, drgającymi wciąż i macającymi, i wreszcie z oczyma na słupkach, iskrzącymi się po obu stronach metalowego czoła! Grzbiet miał pomarszczony i sfaldowany, a zdobiły go nierówne garby, tu i ówdzie upstrzone zielonąwą inkrustacją. Widziałem, jak macki potwora — wystające z przedziwnej paszczy — poruszały się podczas ruchu i dotykały ziemi. Wpatrzony w przerażające zjawisko, które sunęło ku mnie, uczulem naraz swędzenie na policzku, jak gdyby usiadła na nim mucha. Odpędziłem natręta ruchem ręki, lecz po chwili powrócił on jednak, gdyż natychmiast uczulem znowu dotknięcie na uchu. Sięgnąłem ręką i pochwyciłem coś podobnego do nitki, co szybko wyrwało mi się z dłoni. Odwróciłem się w strasznym udręczeniu i spostrzegłem, że pochwyciłem wąs innego kolosalnego kraba, który był tuż za mną. Jego złośliwe oczy poruszały się na słupkach, paszcza otwierała się z apetytem, a podniesione w górę olbrzymie kleszcze, pokryte śluzem roślinnym, już mnie chwytaly. W jednej chwili oparłem rękę na dźwigni i pomiędzy tymi stworami a sobą zostawiłem miesiąc. Znalazłem się jednak znowu na tym samym brzegu i ujrzałem znowu te same kraby, jak tylko zatrzymałem wehikul. Pełzały już teraz całymi tuzinami, w mrocznym świetle, po zielonych płachtach roślinności.

Nie zdołałem opisać owego widoku strasznego spustoszenia, jakie zawisło nad światem. Czerwone niebo na wschodzie, ciemność na północy, martwe słone morze, skalisty brzeg rojący się od strasznych pełzających potworów, jednostajna, jadowita zieleń roślin podobnych do porostów, rozrzedzone powietrze, które drażniło płuca — wszystko to składało się na przerażającą całość. Przesunąłem się o tysiące lat i ciągle jeszcze widziałem to samo czerwone słońce — trochę tylko większe, trochę ciemniejsze — to samo umierające morze, to samo chłodne powietrze, ten sam rój skorupiaków pełzających wśród zielonych porostów i czerwonych skał. A na niebie zachodnim ujrzałem blade łuk, podobny do sierpa księżycy.

Tak podróżowałem, zatrzymując się w wielkich odstępach czasu, przeskakując po tysiąc i więcej lat, pchany naprzód żądzą zbadania tajemniczego losu Ziemi, wpatrując się ze szczególnym oczarowaniem, jak na zachodzie rośnie coraz większe i posępniejsze Słońce — jak na starej Ziemi opada fala życia. Wreszcie, w więcej niż trzydzieści milionów lat od dzisiejszych czasów, ogromna, do czerwoności rozżarzona kopuła Słońca zajmowała już blisko dziesiątą część nieba. Zatrzymałem się raz jeszcze, bo znikła już była rojąca się masa krabów, a czerwony brzeg wyglądał jakby zupełnie wymarły z wyjątkiem bladzielonych mchów i porostów. Teraz były na nim tylko białe plamy. Przejęło mnie ostre zimno. Rzadkie zrazu białe płatki spadały bez przerwy na ziemię. Na północnym wschodzie w świetle gwiazd błyszcząły pod ciemnym niebem śniegi, a falująca linia pagórków miała barwę różową. Samo wybrzeże skute było lodem, który gromadził się tu masami, ale właściwy obszar słonego, krwawo zabarwionego oceanu w wiecznym zachodzie słońca był ciągle jeszcze wolny od lodu.

Rozglądałem się dokoła, szukając śladów życia zwierzęcego — jakaś nieokreślona trwoga ciągle trzymała mnie na siodle maszyny — lecz ani na ziemi i niebie, ani na morzu nie dostrzegłem nic, co by choć drgnęło. Jedyne zielone opona skał świadczyła, że życie jeszcze nie wygasło. Na morzu pokazała się oto mielizna, a woda cofnęła od brzegu. Zdawało mi się, że widzę jakiś ciemny przedmiot pełzający po ławicy, ale kiedy zacząłem mu się przyglądać, przestał się poruszać. Myślałem, że mylą mnie oczy, czarny zaś przedmiot jest tylko skałą. Gwiazdy na niebie błyszcząły bardzo silnie i zdawało się, że z lekka na mnie mrugają.

Nagle zauważyłem, że od zachodu kulisty zrąb słońca uległ zmianie — a na wypukłości tworzy się jakby ciemna zatoka, która rośnie w mych oczach. Przez minutę wpatrywałem się w ciemność, zachodzącą na światło dzienne, i doszedłem do wniosku, że albo zaczyna się zaćmienie Księżycy, albo też planeta Merkury przechodzi przez słoneczną tarczę. Z początku wziąłem oczywiście zasłaniające ciało za Księżyc; lecz wiele powodów przemawia za tym, że zjawisko, na które patrzyłem, było przejściem jakiejś planety poruszającej się bardzo blisko Ziemi.

Zapadała szybko ciemność, od wschodu zaczął dąć w gwałtownych podmuchach zimny wiatr, a w powietrzu było coraz więcej białych płatków. Od brzegu po przejściu bladej fali dolatywał szmer. Pomijając te dźwięki, nie drgające już wcale życiem, świat był cichy. Cichy? Trudno byłoby jednak opisać tę ciszę. Głosy ludzkie, ryk bydła, wrzaski ptaków,

brzęczenie owadów, szmery, które składają się na tło naszego życia — wszystko to już dawno przeminęło. Teraz, gdy ciemności się zwiększyły, wirujące płatki zaczęły spadać w większej ilości, tańcząc mi przed oczyma, a zimne już powietrze oziębiło się jeszcze bardziej. W końcu białe szczyty dalekich wzgórz zaczęły kolejno znikać w mroku. Powiew idący od morza przemienił się w wyjącą wicherę. Widziałem, jak czarny, środkowy cień zaćmienia pędzi na mnie. W chwilę później patrzyłem już tylko w blade gwiazdy, wszystko skryło się w bezdennym mroku. Niebo było już zupełnie czarne.

Przeraziła mnie ta ciemność. Uczułem przejmujący mnie do szpiku kości chłód. Oddychanie sprawiało ból. Drżałem cały i czułem, jak mnie ogarniają śmiertelne mdłości. Jak czerwony łuk na niebie pokazał się wreszcie brzeg słońca. Zszedłem z maszyny, aby odpocząć. W głowie mi się kręciło, byłem niezdolny do podróży z powrotem.

Gdy stałem tak odurzony i słaby, dostrzegłem ruch na mieliźnie. Teraz już nie można było się pomylić: coś poruszało się wśród czerwonych wód morza. Jakiś okrągły kształt, wielkości piłki, może nieco większy. Czułki potwora zwiślały na dół; barwę miał najwyraźniej czarną na tle krwistej wody i podskakiwał co chwila. Czułem, że mdleję. Lecz straszna obawa na samą myśl, iż mogę lec bez pomocy w tym dalekim, złowrogim zmierzchu, użyczyła mi sił do wdrapania się na siodło.

ROZDZIAŁ XII

I tak oto powróciłem. Przez dłuższy czas tkwiłem w siodle bez uczucia. Znowu nastąpiła błyskawica kolejności dni i nocy, znowu słońce przybrało barwę żółtą, a niebo — błękitną. Oddychałem swobodniej. Zmienne zarysy lądów podnosiły się i opadały. Wskazówki na tarczach obracały się wstecz. Wreszcie ujrzałem znów owe mroczne cienie domów, znamiona chylące się ku upadkowi ludzkości. I one uległy zmianom, znikły, a po nich nastąpiły nowe. Gdy wskazówka milionowa stanęła na zerze, zwolniłem bieg. Zacząłem rozpoznawać nasz styl w budownictwie, znany i swojski. Wskazówka tysięczna zatrzymała się; dnie i noce następowały po sobie coraz wolniej. W końcu wynurzyły się stare mury laboratorium. Z wolna, całkiem wolno zatrzymywałem mechanizm.

Zauważyłem pewien szczegół, który wydał mi się dziwny. Mówiłem wam, zdaje się, że gdybym już wystartował w przyszłość, zanim jeszcze ruch nabrał szybkości, pani Watchett przeleciała przez pokój jak piłka. Powracając, znowu znalazłem się w tej chwili, kiedy przechodziła przez laboratorium; lecz teraz ruchy jej miały kierunek odwrotny, bo kiedy drzwi otworzyły się spokojnie, wsunęła się do laboratorium, zwrócona plecami, i znikła w tych samych drzwiach, którymi weszła była poprzednio. Na chwilę przedtem zdawało mi się, że widzę Hillyera, ale przemknął on jak błyskawica.

Wówczas zatrzymałem maszynę i spostrzegłem stare, ukochane me laboratorium, narzędzia, sprzęty — wszystko tak, jak zostawiłem. Chwiejąc się zszedłem z maszyny i usiadłem na kanapie. Przez kilka minut drżałem gwałtownie.

Niebawem przyszło uspokojenie. Dokoła mnie była znowu tak jak dawniej moja pracownia. A może spałem tylko cały ten czas, a podróż ta była tylko snem. A jednak — nie! Wehikuł wyruszył z południowo-wschodniego kąta laboratorium, wrócił zaś na północny zachód i stanął na wprost ściany, przy której widzieliście go wtedy. To wam ukaże dokładną odległość między murawą a piedestałem białego sfinksa, w którym Morlokowie schowali maszynę.

Przez czas jakiś nie mogłem zebrać myśli. Wszedłem oto przez korytarz na górę, kulejąc, bo mnie ciągle bolała pięta. Czułem, że jestem straszliwie brudny. Spostrzegłem «Pall Mall Gazette» na stoliku przy drzwiach. Znalazłem tam dzisiejszą datę, a spojrzawszy na regulator ujrzałem, że wskazuje ósmą. Słyszałem wasze głosy i brzęk talerzy. Zawahałem się, gdyż czułem się bardzo obolały i słaby. Później doleciał mnie nęcący zapach mięsa. Otworzyłem drzwi do was. Resztę już wiecie. Umyłem się, dokończyłem obiadu i teraz oto opowiadam wam moje dzieje.

— Wiem — rzekł po małej pauzie — że to wszystko wyda się wam zupełnie nieprawdopodobne, chociaż doprawdy jedyną niewiarygodną rzeczą jest to, że dziś wieczór znajduję się w znanym mi dobrze pokoju, że patrzę na wasze przyjazne twarze i opowiadam te oto dziwne przygody.

Spojrzał na Lekarza.

— Nie. Nie spodziewam się, że mi uwierzycie. Traktujcie to jako fantazję lub wizję przyszłości. Przypuście, że wszystko to przyśniło mi się w pracowni, i sądzcie, że rozmyślając nad przeznaczeniem ludzkości spłodziłem w końcu tę fikcję. Bierzcie moje zapewnienia, że jest ona prawdziwa, za sztuczkę aktorską użytą dla spotęgowania wrażenia. Traktując moją wyprawę jak fantazję, co jednak o niej sądzicie?

Wziął fajkę i zaczął swoim zwyczajem uderzać nią nerwowo o żelazne pręty kominika. Nastąpiła chwila ciszy. Zatrzeszczały krzesła, zaszurały buty po dywanie. Odwróciłem wzrok od twarzy Podróżnika i rozejrzałem się po jego słuchaczach. Wszystkie twarze tonęły w ciemności, przed każdą błyszczał tylko maleńki jarzący się punkt. Lekarz wyglądał tak, jakby się wpatrywał w gospodarza. Wydawca patrzył na koniec swego cygara, szóstego z rzędu. Dziennikarz obracał w rękę zegarek. Inni, o ile pamiętam, siedzieli nieruchomo.

Wydawca wstał z westchnieniem. — Co za szkoda, że nie jest pan powieściopisarzem! — rzekł kładąc rękę na ramieniu Podróżnika w Czasie.

— Nie wierzy więc pan?

— No cóż...

— Nie spodziewałem się...

Podróżnik w Czasie zwrócił się do nas:

— Gdzie są zapalki? — spytał. Zapalił fajkę i pykając z niej mówił: — Prawdę rzekłszy... Ja sam ledwo w to wierzę... A zresztą.

W niemym pytaniu utkwili badawczy wzrok w zwiedłych białych kwiatach na stoliku, po czym odwróciwszy rękę, którą trzymał był fajkę, przyglądał się — jak zauważyłem — ledwo zagojonym bliznom na stawach palców.

Lekarz wstał, podszedł do lampy i przyjrzał się kwiatom.

— Słupkowe nieparzyste — powiedział.

Psycholog pochylił się, aby je zobaczyć z bliska, i wyciągnął rękę po kwiatek.

— Niech mnie powiesz, jeżeli nie jest już kwadrans na pierwszą! — krzyknął Dziennikarz. — Jak się dostaniemy do domu?

— Jest mnóstwo dorożek na stacji — rzekł Psycholog.

— Ciekawa rzecz — mówił Lekarz — nie wiem jednak dokładnie, do jakiego rzędu należą te kwiaty. Czy mogą je wziąć?

Podróżnik zawahał się, a później nagle rzekł:

— Nie.

— Skąd je masz naprawdę? — zapytał Lekarz.

Podróżnik w Czasie przyłożył rękę do głowy i mówił jak ktoś, co się stara powstrzymać uciekającą myśl.

— Włożyła mi je do kieszeni Weena, gdy podróżowałem w czasie. — Rozejrzał się po pokoju. — Niech mnie diabli porwą, jeżeli się to wszystko nie zdarzyło naprawdę! Ten pokój, wy i atmosfera codzienności: to za wiele na mą głowę. Czyż istotnie zbudowałem był wehikul czasu lub choćby jego model? A może to jest tylko sen? Mówią, że życie jest snem, marnym snem niekiedy; ale tu innego stanowiska zająć niepodobna. To szaleństwo. A skąd biorą się sny? Muszę spojrzeć na maszynę, jeżeli ona jeszcze jest.

Chwył spiesznie lampę i poniosł ją przez drzwi na korytarz, oświetlając drogę przed sobą. Poszliśmy za nim. W drżącym świetle lampy stała oto najwyraźniej maszyna, ciężka, duża, o dziwnych kształtach, zrobiona z brązu, hebanu, kości słoniowej i przezroczystego kwarcu. Była solidnie zrobiona — dotykałem bowiem prętów — na kości słoniowej widniały plamy, na dolnych częściach maszyny tkwiły kawałki trawy i mchu; a jeden z prętów wygięty był zupełnie.

Podróżnik w Czasie postawił lampę na ławce i przesunął ręką po uszkodzonym pręcie. — Tak jest, w porządku — rzekł. — Opowieść, którą słyszeliście, jest prawdziwa. Przepraszam, że przyprowadziłem was tutaj, na to zimno.

Wziął lampę i w zupełnym milczeniu powróciliśmy do palarni.

Wyszedł z nami do hallu i pomógł Redaktorowi włożyć palto. Lekarz spojrzawszy w twarz Podróżnika i stwierdził po pewnym wahaniu, że zapewne jest on chory wskutek przepracowania, na co ten roześmiał się na cały głos. Pamiętam, jak stojąc w otwartych drzwiach zawołał: — Dobranoc.

Wsiadłem do jednej dorożki z Redaktorem. Towarzysz mój mniemał, że całe opowiadanie jest tylko wspaniałą błagą. Ja zaś nie wiedziałem zgoła, co mam o tym sądzić... Przygody były tak fantastyczne i nieprawdopodobne, opowiadanie natomiast proste i wzbudzające wiarę! Oka w nocy nie zmrzyłem myśląc wciąż o tym. Postanowiłem przyjść nazajutrz i zobaczyć się znowu z Podróżnikiem. Powiedziano mi, że jest w laboratorium, a ponieważ byłem tam jak u siebie, udałem się wprost do niego. Ale laboratorium było puste. Czas jakiś przyglądałem się wehikułowi czasu, sięgnąłem ręką i dotknąłem dźwigni. W tej chwili potężna, ociężała wyglądająca machina podskoczyła jak gałąź wstrząśnięta wiatrem. Ogromnie mnie zdziwiła jej niestatyczność i naraz przypomniałem sobie czasy dzieciństwa, kiedy mi zabraniano ruszać wielu rzeczy. Wróciłem na korytarz. Podróżnik w Czasie spotkał mnie w palarni. Wracał ze swego pokoju. Pod jedną pachą miał niewielki aparat fotograficzny, w drugiej trzymał tłumoczek. Uśmiechnął się, gdy mnie ujrzał, i podał mi łokieć zamiast ręki.

— Jestem strasznie zajęty — rzekł.

— Nie jestże to czasem jakaś mistyfikacja? — zapytałem. — Czyżbyś rzeczywiście podróżował w czasie?

— Rzeczywiście i naprawdę podróżuję — rzekł zaglądając mi szczerze w oczy. Zawahał się. Wzrok jego obiegł pokój.

— Potrzeba mi tylko pół godziny — powiedział. — Wiem, po co przyszedłeś, i bardzo to ładnie z twojej strony. Oto kilka miesięczników. Jeżeli zostaniesz na śniadaniu, złożę ci dowody tej podróży w postaci wszelkich prób i okazów. Darujesz, że cię teraz zostawię samego?

Przystąpiłem, niezupełnie pojmując znaczenie jego słów, a on skinął tylko głową i wyszedł na korytarz.

Słyszałem, jak zatrzasnął drzwi laboratorium, rozsiadłem się w fotelu i wziąłem do rąk gazetę... Co on jeszcze zamierza uczynić przed śniadaniem?

Nagle przypomniałem sobie, że mam się spotkać o tej porze z wydawcą Richardsonem. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że ledwie zdążę stawić się na czas. Wstałem i pobiegłem na korytarz, aby powiedzieć o tym Podróżnikowi. Gdy ujmowałem klamkę, usłyszałem dziwnie urwany okrzyk, a także szcęk i łoskot. Kiedy otworzyłem drzwi, owionął mnie wiatr i usłyszałem brzęk szkła spadającego na podłogę. Podróżnika nie było. Przez chwilę widziałem tylko mglistą, niewyraźną postać. Siedziała wśród wirującej masy ciemnej, a błyszczącej jak metal. Postać ta była tak przejrzysta, że można było widzieć poprzez nią ławkę z arkuszami rysunków. Lecz gdy przetarłem oczy, zjawy zniknęła; wehikułu czasu nigdzie nie dostrzegłem. W głębi laboratorium poza tumanem wirującego kurzu nic więcej nie było, a w oknie pozostał pusty otwór po wybitej tylko co szybie.

Ogarnęło mnie niepojęte zdumienie. Wiedziałem, że stało się coś niezwykłego, przez chwilę jednak nie byłem w stanie pojąć, co też to być mogło. Gdy tak stałem zapatrzony, otworzyły się drzwi wiodące do ogrodu i ukazał się w nich służący.

Spojrzeliśmy po sobie. Zaczęły nam świtać jakieś myśli.

— Pan wyszedł tędy? — zapytałem.

— Nie, panie. Nikt tędy nie wychodził. Spodziewałem się, że go tu zastanę.

Teraz pojąłem wszystko. Pozostałem tam jednak, narażając się na niechęć Richardsona, i czekałem na Podróżnika, na nowe opowiadanie, być może jeszcze dziwniejsze, na okazy i fotografie, jakie miał z sobą przywieźć. Sądzę jednak obecnie, że musiałbym chyba czekać tak całe życie. Podróżnik w Czasie zniknął przed trzema laty i, jak wszyscy już wiemy, dotychczas jeszcze nie wrócił.

EPILOG

Można snuć najdziwniejsze domysły. Czy on kiedykolwiek powróci? Być może dostał się w przeszłość i wpadł pomiędzy krwiożerczych, włosem porośłych dzikusów z epoki kamienia łupanego, może się dostał w otchłanie morza epoki kredowej lub znalazł wśród dziwnych gadów, olbrzymich bestii ziemnowodnych z okresu jurajskiego. Być może, iż teraz — jeżeli tak można powiedzieć — przechadza się po paleolitycznej rafie koralowej nawiedzanej przez plezjozaury lub nad samotnymi słonymi jeziorami okresu triasowego... A może też rzucił się naprzód, w któryś z wieków najbliższych, kiedy ludzie będą jeszcze ludźmi, lecz zagadnienia naszych czasów będą już rozwiązane, a na dręczące nas pytania

znajdą się odpowiedzi... Może sięgnął okresu dojrzałości rasy ludzkiej, ja bowiem sądzę, że niepodobna przypuścić, aby doba obecna, doba ostrożnych doświadczeń, niekompletnych teorii i powszechnego rozdzwiewku była istotnie punktem kulminacyjnym rozwoju ludzkości.

Tak przynajmniej ja sądzę. On, o ile wiem — rozprawialiśmy bowiem o tym długo przed wykończeniem wehikułu czasu — czynił mniej pocieszające przypuszczenia o postępie ludzkości i we wznoszeniu się cywilizacji widział tylko rosnącą górę głupstw i błędów, która musi kiedyś runąć miażdżąc tych, co ją wznosili. Jeżeli nawet tak jest istotnie, to powinniśmy jednakże żyć tak, jak gdyby było inaczej. Dla mnie przyszłość jest jeszcze mroczna i pusta, jest wielką niewiadomą, na którą miejscami tylko rzuca światło niniejsza opowieść Podróżnika. Na pociechę jednak pozostały mi te dwa dziwne białe kwiaty — zeschłe już, szerniałe, zmięte i rozsypujące się w proch; świadczą one, że nawet wtedy, kiedy rozum i siła już znikły, uczucia wdzięczności i tkliwości wzajemnej pozostały w sercu człowieka.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wells-wehikul-czasu>

Tekst opracowany na podstawie: Herbert George Wells, Wehikuł czasu, tłum. Feliks Wermiński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1985.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Jarosława Lipszyca.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: BoBsoN Robert Partyka, Jakub Hałun, Michał Sidor.

Okładka na podstawie: Basharat Alam Shah@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1010-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.